Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

DZIŚ W NUMERZE:

Rok VIII | Warszawa, dn. 23. IX. 1951 r. | Nr 38 (320)

STANISŁAW CIEŚLAK

KU SPÓŁDZIELCZOŚCI PRODUKCYJNEJ*)

I

„Czy zdaniem gospodarza (i jak) można w jego gospodarstwie uzyskać lepsze plony i lepszą wydajność zarówno w produkcji roślinnej jak i zwierzęcej?“ — oto treść pytania, które Instytut Spraw Społecznych skierował w r. 1934 do 4548 chłopów, mieszkających w 53 wsiach, wybranych jako typowe dla poszczególnych okręgów gospodarczych naszego kraju.

Jaką otrzymał odpowiedź?

Na postawione pytanie **28 proc. chłopów odpowiedziało przecząco.**. Byli to przeważnie małorolni chłopi, którzy borykając się bezskutecznie od wielu lat z nędzą, zwątpili całkowicie w możliwość rozwoju swych drobnych gospodarstw w istniejącym kapitalistycznym ustroju. Do tej zdecydowanie negatywnej odpowiedzi skłoniła ich nie teoretyczna znajomość klasowej treści kapitalizmu, ale podsumowanie gorzkiego, codziennego doświadczenia trzech bez mała pokoleń chłopskich.

72 proc. pytanych chłopów odpowiedziało twierdząco. Ale swą odpowiedź obwarowali całą listą warunków-zastrzeżeń. Bo jak podnieść wydajność gospodarstw chłopskich?

Dajcie... więcej ziemi, nawozów sztucznych, narzędzi rolniczych, środki (zwłaszcza sprzężaj) do zagospodarowania odłogów, bardziej wydajne odmiany roślin i zwierząt, więcej paszy, dajcie kredyty obrotowe i inwestycyjne, nie pomijajcie chłopów przy kontraktowaniu roślin przemysłowych (których i tak straszliwie mało się uprawia), otwórzcie dostęp do wiedzy rolniczej, zamknijcie nożyce cen artykułów przemysłowych i rolnych, przeprowadźcie melioracje, umożliwcie właściwy płodozmian — a my damy więcej chleba, mięsa, tłuszczu i innych płodów rolnych.

Ta długa i wymowna lista zastrzeżeń była jaskrawym aktem oskarżenia faszystowskiego rządu i gnijącego kapitalizmu.

Przecież po fali kryzysu światowego, która miała skończyć się w r. 1933, depresja u nas trwa nadal i pogłębia się. Minister skarbu stwierdzał oficjalnie, równolegle do naszych ankietowców, że „w bezkresny dół stacza się życie robotnika, chłopa i inteligenta“. Produkcja chłopska zmniejszyła się do połowy i do połowy jej chłonność rynkowa. To był kierunek ruchu, jakiemu podlegała gospodarka chłopska mało i średniorolnych. Ukrytych 8 milionów bezrobotnych i pańskie latyfundia ukazywały w obrachunku ledwie 1 ha ziemi na głowę ludności rolniczej. Zaopatrzenie w narzędzia w gospodarstwach do 2 ha (a więc w co trzecim gospodarstwie chłopskim) nie wykraczało poza 1 wóz na 8 gospodarstw, poza 1 pług na 9 gospodarstw i poza 1 młocarnię na 50 gospodarstw, a 25 kieratów na 100 gospodarstw, przy zupełnym braku żniwiarek i siewników.

W warunkach tak kompletnego ogołocenia drobnych i średnich gospodarstw chłopskich ze środków produkcji — lista warunków „wszystkiego więcej“, jaką sformułowali nasi ankietowcy, mówiła równocześnie o dwu rzeczach:

1) Że wieś pracująca znajduje się i coraz głębiej zapada w położenie, w jakim nie ma już mowy nie tylko o reprodukcji rozszerzonej, ale o reprodukcji prostej, że profil produkcji rolnej wyraża katastrofę, wyraża kierunek odwrotu do wegetacji samozaopatrzeniowej, że ustrój jawnie już pełni funkcję hamowania nawet kapitalistycznego rozwoju sił wytwórczych w rolnictwie chłopskim, że jest gnijącym kapitalizmem ze znienawidzoną u góry władzą sanacyjno-faszystowską.

2) Ta wielka lista „wszystkiego więcej“, jakkolwiek sformułowana tylko jako program rozwoju sił wytwórczych, wyrażała masowe napięcia w chłopstwie, wzbierające do rewolucyjnego przeobrażenia stosunków produkcji, do przewrotu ustrojowego. I o ile na ankietowców nie posypały się jawne represje, o tyle już strajk rolny chłopów w r. 1937, który był walką ledwie o procenty tego programu i manifestu zarazem, „spotkał się z oceną rządu jako „powstania“ i „rewolucji“ i spłynął krwią dziesiątków zabitych i setek rannych chłopów, wepchnięto do więzienia dziesiątki tysięcy chłopów, a setki wsi obrócono pacyfikacjami w perzynę.

II

Większość z tych ludzi (conajmniej 4300 osób), którzy odpowiadali w roku 1934 na ankietę Instytutu Spraw Społecznych z pewnością żyje.

Jaką odpowiedź otrzymalibyśmy dziś, gdybyśmy **po raz drugi** skierowali do nich **to samo** pytanie.

Jeśli Instytut Spraw Społecznych wybrał naprawdę wsie typowe i przeciętne, nie dostalibyśmy 4300 odpowiedzi.

Zmieniło się bowiem wiele na wsi w ciągu tych lat siedemnastu. Z ok. 21 milionów przed wojną liczba ludności rolniczej zmniejszyła się do 11,5 milionów (o ok. 50 proc.), a liczba gospodarstw chłopskich o ok. 700 tysięcy, a więc o 18 proc. Co wyrażają te zmiany?

Oto, co najmniej 800 dawnych „ankietowiczów“ trzebaby dziś szukać w Nowej Hucie, na **tysiącu** placów budowy w Warszawie, w stalowni huty Częstochowa, w Goczałkowicach, Kędzierzynie, Andrychowie, w kopalniach węgla w Wałbrzychu, w portach Szczecina, Gdańska, Kołobrzega, Darłowa...

Dalszych około 400 byłych „ankietowiczów“ odpowiedziałoby dziś z uśmiechem, że pytanie zostało źle sformułowane, bo gospodarują już albo zaczną niedługo gospodarować na takim gospodarstwie, które jest i swoim i wspólnym. Mamy przecież ponad 3000 spółdzielni produkcyjnych, to znaczy, że **co trzynasta wieś** gospodaruje już zespołowo.

Conajmniej 200 odpowiedziałoby: dzieci mam w szkołach w mieście sam już dorabiam w przemyśle, może niedługo już i mnie na gospodarstwie nie zobaczycie.

Wśród „ankietowiczów“ było sporo kułaków, którzy i wówczas wyrażali apetyty jeszcze „na więcej“. Ci dziś z pewnością narzekaliby na złe czasy, bo o parobka coraz trudniej, a trzeba mu płacić „jak należy“, bo spekulować nie można, bo pogardza się „pracowitością i oszczędnością“ (czytaj wyzyskiem) a podatki (zamiast uważania i godności gminnych) idą według ilości morgów.

Ale reszta? To znaczy ok. 2500 rolników? Otóż ci odpowiedzieliby z pewnością podobnie, jak odpowiedzieli przed siedemnastu laty — dajcie więcej maszyn i narzędzi rolniczych, więcej nawozów, więcej paszy, więcej i tańszych artykułów przemysłowych dla wsi, więcej kontraktów rolniczych, więcej melioracji... a damy dla narodu więcej chleba, mięsa, tłuszczu, buraków cukrowych i innych płodów rolnych.

Odpowiedź pozornie podobna, prawie taka sama, co przed siedemnastu laty, a jakże jednak **inna!**

Żądania bowiem „chcemy więcej środków i narzędzi produkcji“ — które słyszy się w każdej wsi — słyszy się pod adresem władzy ludowej, która **podwoiła** przez reformę rolną i osadnictwo na Zachodzie **chłopski stan posiadania ziemi,** która dała **już trzy razy więcej nawozów, osiem razy więcej maszyn i narzędzi rolniczych, pięćdziesiąt razy więcej energii elektrycznej, która zawarła, głównie z mało i średniorolnymi chłopami, 5 milionów umów kontraktacyjnych** na uprawy roślinne i produkty hodowli, **która dla milionów dzieci chłopskich otworzyła szeroko wrota szkół podstawowych, zawodowych i wyższych** (a Plan 6-letni zapowiada i realizuje wciąż więcej i więcej!).

Żądania zatem chłopskie oznaczają dziś zupełnie co innego, niż przed siedemnastu laty.

To nie rozpacz bije z tych żądań, jak niegdyś, a radosne przekonanie o trwałości i sile sojuszu robotniczo-chłopskiego, sojuszu zwróconego ostrzem swym przeciw tym wszystkim, którzy usiłują poderwać wśród mało i średniorolnych chłopów pewność lepszego jutra i cofnąć ich do stanu przedwojennego (kiedy to 32 proc. mało i średniorolnych chłopów już nie wierzyło w celowość swej pracy, a 68 proc. — zaczynało wątpić), cofnąć ich do czasów, w których chłop polski w przeważającej swej masie był i **musiał być** nędzarzem.

Tak. Bije z tych żądań głód nowych środków produkcji, a zwłaszcza nowych narzędzi pracy.

Ale cóż jest jego siłą napędową, jak nie nowe warunki ustrojowe, jak nie poważne już nasycenie tego głodu przez ekonomiczną pomoc klasy robotniczej i państwa ludowego zapewniającą stałą i trwałą pomoc dla rozwoju sił wytwórczych w rolnictwie? To nowy ustrój i jego ekonomika socjalistyczna rozwija i przemienia bodźce w chłopach do produkcji. Od elementarnego głodu do świadomych apetytów, w których manifestuje się już wzniesiony poziom cywilizacyjny i kulturalny, nowa i rozszerzona świadomość polityczna, nowa buchalteria rolnicza, wiążąca gospodarstwo **z całością** planu gospodarki narodowej, z całością wspólnego gospodarstwa robotników i chłopów.

Nigdy w Polsce nie było takich plonów i takich zbiorów, jak dziś, nigdy nie przypadało w Polsce ok. 0,9 koni, 2 krowy i 3 świnie na 1 gospodarstwo rolne, co (po odjęciu wielkiej koncentracji hodowli w PGR oraz wyższego stanu pogłowia w gospodarstwach kułackich), daje i tak ogromną zwyżkę pogłowia w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich w porównaniu z latami przedwojennymi. Wyniki te to owoce wielkiego wkładu pracy chłopa mało i średniorolnego **przy pomocy władzy ludowej!** I chłop dziś chce osiągnąć wyniki jeszcze lepsze, bo wie, że owoców jego pracy nikt mu w nowej Polsce nie zagrabi.

III

Strumień nowych środków produkcji, nowych narzędzi pracy szeroką falą płynie dziś na wieś, wyciąga po nie ręce mało i średniorolny chłop, a chwytając je zaczyna coraz krytyczniej oceniać możliwości produkcyjne drobnego gospodarstwa rolnego, a coraz lepiej rozumieć wyższość zespołowej gospodarki na wielkim obszarze, przy pomocy maszyn, przy pełnym wykorzystaniu osiągnięć wiedzy rolniczej.

Jego praktyczne bowiem doświadczenie zaczyna mu odsłaniać tajemnicę w pełni rozszerzonej reprodukcji, najbardziej dającej się na tym etapie historii rozszerzyć, właśnie tylko w wielkim, socjalistycznym gospodarstwie rolnym, takim, jak PGR i jak spółdzielnie produkcyjne.

(Dokończenie na str. 8)

*) Patrz: „Wśród zagadnień rolniczych“ (Wieś nr 36) i „Od kapitalizmu do socjalizmu“ (Wieś nr 37).

PIOTR NADRABSKI

W SIÓDME DOŻYNKI WOLNOŚCI

Autor wiersza drukowanego poniżej jest chłopem — samoukiem w starszym już wieku. Utwór ten (w skrótach) postanowiliśmy pokazać naszym czytelnikom jako charakterystyczny dla postawy kulturalnej chłopa wychowanego w kręgu roboty kulturalno-oświatowej galicyjskiego ruchu ludowego. Wiersz ten mimo oczywistej nieporadności literackiej ukazuje wcale niemałe poczucie tradycji wiersza polskiego budząc w czytelniku skojarzenia sięgające aż poezji wieku oświecenia. Dla nas najbardziej frapujące są dwa momenty tego utworu. Pierwszy — to jego realizm wynikający z konkretnej znajomości opisywanego życia, wynikający także z głębokiego osobistego przeżycia spraw, o których w wierszu mowa. Drugi — to nurt epicki wiersza i to nie tylko ze względu na tok narracji poetyckiej, ale głębiej — ze względu na h i s t o r y c z n ą perspektywę w ujęciu opisywanych zdarzeń. Ten epicki nurt harmonizuje ze spokojną, klasyczną formą wiersza. Zwracamy również uwagę na elementy ludowe jak np. w dużych skrótach tu podana rozmowa dziecka z matką na temat niesprawiedliwości społecznej Wiersz Nadrabskiego to jeszcze jeden dokument z naszej teki historii kultury wsi dzisiejszej epoki przemian. „Stare“ (w formie i w fakturze literackiej) spotyka się tu z „nowym“ (i przeżytym i dochodzącym do klasowej świadomości ludu).

REDAKCJA

Kiedy byłem mały i goniłem boso,
często na progu czworaka siadałem.
Pilnowałem domu a szczególnie prosiąt,
bo te stale w ogrody dworskie uciekały.
Ubrany w porcięta z rozporkiem na tyle...
jadłem zimne kartofle. To dzieciństwa chwile.

Noc kończyła pracę, noc ją zaczynała.
Jeszcze ciemno na dworze, już budzi karbowy
Krzykiem i biciem w okno, gdzie w czworakach spała
folwarczna biedota. Najpierw doić krowy,
potem w pole, do żniwa, na łąkę, w ogrody,
do pielenia zagonów, lub noszenia wody.

Z każdej izby czworaka biegną już postacie
zaspane, w roboczych chustach, konopne spódnice.
Wszyscy jeszcze coś gryzą, lub zwinięty w szmacie
placek chowają w zanadrze, zjedzą w południcę...
Po czym szybkim krokiem zdążają do pracy,
dokąd ich karbowy, lub rządca wyznaczył.

Dziś dopiero rozumiem, jak biedne matczysko
nie mogło się podnieść z twardego posłania,
w pośpiechu rozniecić pod płytą ogniska,
i znaleźć po ciemku jedzenia, ubrania,
bo lampy nie było, a nafta marzenie,
izbę oświecały z pod płyty płomienie.

Ja, jako najstarszy, a już sześć lat miałem,
byłem opiekunem dla młodszych ode mnie;
ubierałem, karmiłem, domu pilnowałem,
byłem im za matkę, więc rano codziennie,
kiedy już słonko dość wysoko stało
pierwszy „chybałem“ z pieca, och jak się nie chciało!

Statków było niewiele, to i mycia mało;
w garnku ciągle kartofle, więc go nie myjałem,
łóżek nie mieliśmy, a ław się nie słało,
jedynie izbę brzozą zamiatałem,



Much to już miliony!... jak zwykle w czworakach...
Te od początku świata mszczą się na biedakach!...

Przed dworem, do ogrodów chodzić zabroniono.
Za spichlerzem jednak wśród pokrzyw i malin,
było dziura w parkanie... skąd widać, jak z boną
biegały pańskie dzieci, piłeczkę rzucały,
lokaj im przynosił, podawał śniadanie,
siedziały na ławeczkach, albo na dywanie.

Dlaczego to oni mieszkają w pałacach,
jeżdżą powozami z stangretem na przedzie,
a my się gnieździmy w tych brudnych czworakach,
sypiamy na pryczy, piecu, w takiej biedzie???...
Wszak mówią, że ludzie jednako się rodzą...
czemu więc jedni syci, a drugich tak głodzą?

Tyś jeszcze za mały, nie zrozumiesz przecie,
lecz kiedy urośniesz, to i pomiarkujesz...
że dużo krzywd i biednych ludzi jest na świecie,
wielka niesprawiedliwość wśród ludzi panuje.
Dziś jesteś bezsilny, trzeba cierpieć dalej
i za kęs rzucony dziękować i chwalić.

Ta ziemia od wieków orana przez kmiotków,
zroszona krwią, potem, opłakana łzami,
będzie kiedyś naszą, bo na niej trud przodków,
my tu będziemy na niej włodzarzami!
Chcesz sprawdzić, to przyłóż do skiby tej ucho,
usłyszysz świst bata, dziadów skargę głuchą.

• • •

Przyszły ciężkie czasy, bo spalone sioła
i zburzone miasta, groził głód i nędza.
Wróg zabrał dobytek, który zjeść nie zdołał,
co nie uniósł ze sobą, niszczył, nie oszczędzał.
Ale na widok taki — Nowy Rząd Ludowy,
nie spuścił rąk bezradnie... Wziął się do budowy!...

Ziemie dworskie w uprawę bezrolnym zostawił.
Stolicę postanowił wskrzesić, odbudować...
Fabryki wnet zadymiły, bo je lud naprawił;
mosty, koleje, szosy budował od nowa.
A kiedy już zasadniczy szkielet Polski stworzył,
wszystkim drogę do wiedzy, nauki otworzył.

Szkół, zakładów i kursów co dzień więcej było
ci, którzy nawet o tym nie marzyli...
mogli skończyć nauki, Państwo ich szkoliło
chcąc, by w Polsce Ludowej sami się rządzili.
Dziś już dzierżą ster w rękach państwowej machiny.
Cóż to są za ludzie? Chłopskie, robotnicze syny!...

Mnie, com wzrastał wśród pól, przy czworakach,
po odbytych studiach w zarząd poruczono,
właśnie ten sam „nasz dwór“, gdzie teraz w komnatach
nową Szkołę Rolniczą, internat stworzono.
I uczą się chłopskie dzieci, jak uprawiać ziemię,
by troiła plonami, rodziła nasienie.

Z czworaków ani śladu, a w budynku nowym
wystawionym w tym miejscu, radzą przodownicy.
Nie ma już służby, fornali, karbowych,
u nas jest spółdzielnia i współpracownicy!
Wszyscy my tu równi, równy wkład dajemy
i w ten sposób Nową Polskę budujemy.

JÓZEF WALIŃSKI

Zarzewie wojny na Dalekim Wschodzie

Japonia na przestrzeni niespełna stu lat (od rewolucji 1868 r.) stała się z zacofanego państwa feudalnego, nowoczesnym państwem, które ogromnym wysiłkiem całego narodu weszło do rzędu mocarstw światowych, a rozwijając się po tej samej linii co wszystkie inne państwa burżuazyjne, wkroczyło na drogę imperializmu, pretendującego do panowania nad całą Azją. Szczególną agresywność wykazała Japonia przez wiele dziesiątków lat w stosunku do Rosji, a potem do Związku Radzieckiego. Już w 1875 r. Japonia zagarnęła szereg wysp Archipelagu Kurylskiego, które od dawna należały do Rosji. W r. 1904 Japonia napadła zdradziecko na Rosję. Wojnę tę Rosja przegrała, a Japonia narzuciła jej wtedy, przy czynnym poparciu Stanów Zjednoczonych A.P., haniebny traktat pokojowy (tzw. Traktat Portsmuntski), na mocy którego Japonia zagarnęła południowy Sachalin i wyspy Kurylskie, zamykając tym samym Rosji wszystkie wyjścia na Ocean Spokojny.

Z szczególną nienawiścią zaatakowali Japończycy Związek Radziecki po zwycięstwie Wielkiej Październikowej Rewolucji Socjalistycznej. Skorzystawszy z równie wrogiego stosunku do młodej Republiki Rad imperialistów Ameryki, Anglii i Francji Japonia okupowała przez cztery lata radziecki Daleki Wschód, dopuszczając się bestialstw wobec ludzi radzieckich, grabiąc bogactwa naturalne, niszcząc miasta i wsie. Dopiero w 1922 r. armia radziecka przepędziła japońskich okupantów. Jeszcze dwukrotnie w ciągu okresu między pierwszą, a drugą wojną światową (w 1938 i 1939 r.), imperialistyczna Japonia prowokacyjnie napadała na Związek Radziecki.

Agresywne dążenia Japonii nie ograniczały się oczywiście do Rosji, a później Związku Radzieckiego. W miarę jak rozwijał się imperializm japoński, rosły apetyty magnatów przemysłowych, popierających zaborcze cele polityki imperialistycznych rządów. W roku 1910 Japonia zagarnęła Koreę. W wyniku pierwszej wojny światowej uzyskała dawniejsze posiadłości niemieckie w Chinach oraz niemieckie wyspy na morzu Południowym. Wszystko to jednak nie było w stanie zaspokoić rosnących gwałtownie apetytów monopolistów japońskich.

W r. 1935 Japonia napadła na Chiny, dążąc do zapewnienia sobie bogatych zasobów surowcowych kontynentu azjatyckiego, jako bazy pod przyszłe panowanie w Azji i niewyczerpane źródło zysków. Przy faktycznym poparciu ze strony imperialistów zachodnich, doszło do zmontowania t.zw. „osi Berlin-Tokio", której ostrze zwrócone było wyraźnie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Po napaści Hitlera na ZSRR Japończycy czekali tylko na dogodny moment, aby jawnie wystąpić przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Jednak klęski hitlerowców pod Moskwą i Stalingradem rozwiały nadzieje Japonii na łatwy łup.

* * *

8 sierpnia 1945 r. Związek Radziecki, wypełniając zobowiązania podjęte na konferencji Jałtańskiej, wypowiedział wojnę Japonii. Armia Radziecka w ciągu kilku tygodni zadała druzgocące ciosy wyborowym oddziałom japońskim i 2 września rząd japoński ogłosił kapitulację.

Deklaracja Kairska (r. 1943), podpisana przez Stany Zjednoczone, Anglię, Chiny przewidywała, że „Japonia usunięta zostanie z wszystkich wysp na Pacyfiku, które objęła lub okupowała od I wojny światowej oraz z tych ziem, które zagrabiła Chinom jak: Mandżuria, Formoza i Wyspy Rybackie". Podobnie Deklaracja Poczdamska oraz Układ Jałtański z 1945 r. ustalały granice terytorialne Japonii oraz przewidywały przeprowadzenie dekartelizacji, demilitaryzacji i defaszyzacji.

Rząd Stanów Zjednoczonych jednak nigdy nie zamierzał dotrzymać żadnego z tych zobowiązań. Cele zaborczej polityki imperialistów amerykańskich były i są zupełnie niedwuznaczne. Chodzi im z jednej strony o zdobycie panowania nad Pacyfikiem z wszystkimi jego bogactwami i obietnicami nieograniczonych zysków, a z drugiej o wciśnięcie Związku Radzieckiego i wyswobodzonych z pod władzy monopoli amerykańskich krajów Azji w kleszcze zorganizowanej sieci agresywnych baz wypadowych. W r. 1948 wielkorządca Japonii, Mac Arthur oświadczył korespondentowi „Daily Mail": „Ocean Spokojny stał się obecnie jeziorem anglosaskim, a naszą linią obrony jest łańcuch wysp otaczających Azję...".

Co rozumiał pod słowem „obrona" późniejszy kat Korei, wiemy dziś wszyscy.

Z innych zupełnie założeń wychodzi polityka Związku Radzieckiego realizowana konsekwentnie od chwili zwycięstwa Wielkiej Rewolucji Październikowej. **Ideą przewodnią wszelkich poczynań Związku Radzieckiego na arenie międzynarodowej jest dążenie do pokoju,** idea pokojowej współpracy wszystkich narodów, poszanowanie suwerennych praw narodów choćby najmniejszych. Warunkiem nieodzownym zapanowania przyjaznej współpracy między narodami, warunkiem usunięcia groźby nowej wojny jest zagwarantowanie swobodnego rozwoju demokratycznych sił na świecie, odsunięcie od władzy monopolistów, będących wyrazicielami zgnilizny ustroju kapitalistycznego w jego najwyższym stadium rozwoju — imperializmie.

Do wcielenia w życie takich właśnie zasad dążył i dąży Związek Radziecki również jeśli chodzi o Japonię. Źródłem wszystkich agresywnych poczynań Japonii był ustrój społeczno-ekonomiczny tego kraju, była nieograniczona władza kapitału monopolistycznego. Toteż z inicjatywy Związku Radzieckiego umieszczone zostało w Deklaracji Poczdamskiej zdanie, „raz na zawsze powinna być zlikwidowana władza i wpływy tych, którzy oszukali i wprowadzili w błąd naród Japonii...". Związek Radziecki twierdził i nadal twierdzi, że przy spełnieniu odpowiednich warunków, naród japoński może i powinien wejść do rodziny pokój miłujących narodów świata. Tu leży źródło wytrwałych wysiłków rządu radzieckiego, zmierzających do pokojowego i zgodnego z zawartymi umowami uregulowania problemu japońskiego.



Takiej konferencji i zawarcia Paktu 5-ciu mocarstw domagają się narody.
(fotomontaż Democratic Nouvelle)

* * *

Odpowiedzialnym wykonawcą zawartych pomiędzy sojusznikami z okresu drugiej wojny światowej układów w odniesieniu do pokonanego imperializmu japońskiego został rząd amerykański, a na terenie samej Japnoii dowództwo wojsk amerykańskich z gen. Mac Arthurem na czele. Zbyt dobrze znane są metody rządzenia Japonią przez tego wielkorządcę z ramienia monopolistów z Wall Street, aby trzeba się było nad nimi szczegółowo rozwodzić.



Oto wilki z Waszyngtonu polujące na Dalekim Wschodzie...

Realizowana przez Stany Zjednoczone polityka okupacyjna w Japonii zmierza do przekształcenia tego kraju w ośrodek permanentnego niepokoju na Dalekim Wschodzie. Japonia zresztą stanowi tylko jedno, jakkolwiek najważniejsze, z ogniw agresywnego bloku, jaki pragnęliby na Pacyfiku zmontować anglosascy imperialiści. Już w latach 1945 — 46, na długo przed zmontowaniem bloku atlantyckiego zrodziła się w Ameryce myśl powołania do życia zakrojonego na szeroką skalę paktu Pacyfiku. Pakt ten miał za jednym zamachem rozwiązać wszystkie trudniści i kłopoty, jakie imperialistom nastręczały przede wszystkim coraz bardziej przybierające na sile, narodowej ruchy wyzwoleńcze ludów azjatyckich. W myśl pierwotnych planów podstawę paktu Pacyfiku stanowić miał trójkąt, wsparty wierzchołkami o kuomintangowskie Chiny, Japonię i południową Koreę. Zwycięstwo Chin Ludowych przekreśliło jednak rachuby amerykańskie na takie rozwiązanie sprawy a zarazem skłoniło imperialistów do zdwojenia wysiłków dla zmontowania w Azji agresywnego sojuszu wojennego. Odtąd Japonia odgrywać zaczyna coraz bardziej decydującą rolę w planach strategicznych Ameryki na Dalekim Wschodzie. Imperializm amerykański pragnie przekształcić Japonię w swą główną bazę strategiczną na Pacyfiku. Wiemy, że od początku interwencji amerykańskiej w Korei Japonia spełnia w dużym stopniu rolę arsenału wojennego imperializmu amerykańskiego. Do takiej też roli Japonii dostosowana jest cała polityka okupacyjna władz amerykańskich.

Monopoliści amerykańscy zagwarantowawszy sobie gros zysków z największych koncernów japońskich, okazali również wspaniałomyślność swoim japońskim kolegom, dopuszczając ich do udziału w zyskach. Kapitalistom japońskim przekazano fundusze dolarowe, pochodzące z powojennych obrotów handlowych, zwalniając równocześnie zamrożone dotychczas w Ameryce japońskie konta dolarowe.

Korzystając z poparcia amerykańskich władz okupacyjnych, cztery największe koncerny japońskie opracowują plany eksploatacji złóż rudy żelaznej w południowo-wschodniej Azji. Nawiązano już nawet rokowania z Portugalią, gdyż w grę tu wchodzi jej kolonia w Goa. W przyszłości, podobne rokowania nawiązane być mają z Filipinami, Malajami i Nową Kaledonią, posiadającą bogate złoża manganu. Monopoliści japońscy ostrzą już sobie zęby na malajską cynę i kauczuk, na burmeński kauczuk i syjamski wolfram, na indonezyjską naftę i węgiel oraz na wietnamskie żelazo, bauksyt i fosfat.

Zapominają oni jednak wszyscy, że jest to przysłowiowe dzielenie skóry na niedźwiedziu. Ludy południowo-wschodniej Azji bynajmniej nie mają zamiaru czekać potulnie, aż ich amerykańscy czy japońscy wyzyskiwacze obedrą ze skóry.

W samej Japonii lwią część przemysłu zagarnęły monopole amerykańskie. W rękach amerykańskich monopoli znalazła się między innymi większość akcji, ponad 50 największych koncernów japońskich. Według oficjalnych danych japońskich, trzy amerykańskie koncerny: Dupont, Ford oraz Westinghouse Electric zainwestowały w przemyśle japońskim ponad 600 milionów dolarów. Kapitał amerykański opanował szczególnie silnie japoński przemysł naftowy. Już na początku r. 1950 w rękach monopoli amerykańskich znalazło się ponad 60 proc. całego importu, przemysłu przetwórczego i sprzedaży produktów naftowych Japonii. Podobnie rzecz ma się na odcinku przemysłu włókienniczego, stoczniowego i elektrotechnicznego.

Również handel zagraniczny Japonii został opanowany i podporządkowany interesom monopoli amerykańskich. Prawie 65 proc. całego importu japońskiego przypada na Stany Zjednoczone, a udział Stanów Zjednoczonych w japońskim eksporcie wynosi zaledwie 16 proc. Nic też dziwnego, że zadłużenie Japonii w Ameryce w samym tylko handlu zagranicznym wynosiło na początku r. 1951 olbrzymią sumę 800 milionów dolarów.

Równocześnie odbywa się proces szybkiej remilitaryzacji Japonii. W latach 1948 — 49 militaryści amerykańscy gorączkowo odbudowywali japoński przemysł wojenny. Potem przyszła kolej na tworzenie, zamaskowanych na razie, oddziałów wojskowych. W marcu 1950 Mac Arthur wydał rozkaz w sprawie przedterminowego zwalniania japońskich przestępców wojennych. W parę miesięcy później reakcyjny rząd Joszidy przyznał, w porozumieniu z Mac Arthurem, trzem tysiącom byłych oficerów japońskiej armii i floty prawo zajmowania stanowisk dowódców.

Ostatnio rząd Japoński opublikował nową taką listę, obejmującą około czterech tysięcy działaczy politycznych z okresu wojny, oficerów, urzędników policji i członków skrajnie nacjonalistycznych organizacji.

T.zw. „rezerwowy korpus policyjny", będący po prostu zamaskowaną regularną armią, ma być powiększony do liczby 125 tys. ludzi.

Japońskie stocznie otrzymały niedawno polecenie przystąpienia do projektowania budowy okrętów wojennych. Projektuje się również zorganizowanie japońskiego lotnictwa wojskowego. Na cele zbrojeniowe przeznacza się ogromne sumy, wyciśnięte z robotnika japońskiego.

* * *

Nędza mas pracujących w Japonii jest nie do opisania. Ceny wzrosły od czerwca 1950 r. do marca 1951 r. o 62 proc. Dotyczy to szczególnie żywności i artykułów pierwszej potrzeby. Zarobki robotników nie pokrywają nawet połowy urzędowego minimum egzystencji.

Klasa robotnicza ugina się pod ciężarem podatków i świadczeń, które w bieżącym roku pochłaniają niemal 50 proc. zarobków.

Kraj liczy 18 milionów bezrobotnych i na wpół bezrobotnych.

Dzień roboczy trwa 10 godzin i więcej.

Tak oto przedstawia się położenie ogromnej większości ludności w kraju, rządzonym przez kapitał monopolistyczny i dojrzałym według opinii amerykańskich militarystów do „demokracji"...

* * *

W kwietniu br. prez. Truman zapowiedział wszczęcie kroków, które doprowadzić miały do zawarcia separatystycznego traktatu pokojowego z Japonią. Imperialiści amerykańscy świadomie dążyli do odsunięcia od udziału w „traktacie" krajów najbardziej zainteresowanych w demokratycznej i pokojowej przebudowie Japonii, przede wszystkim Związku Radzieckiego i Chin Ludowych. W sposób prowokacyjny i nie spotykany w dziejach stosunków międzynarodowych, przygotowali projekt separatystycznego traktatu pokojowego, po czym zwołali na pierwsze dni września br. konferencję do San Francisco, aby polecić swym posłusznym wasalom podpisanie owej parodii traktatu. Mimo prowokacyjnych metod zastosowanych przez rząd Stanów Zjednoczonych, Związek Radziecki, Czechosłowacja i Polska postanowiły wziąć udział w konferencji, aby zadokumentować gotowość wspólnego przedyskutowania tak doniosłego problemu, a zarazem zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo grożące pokojowi ze strony podżegaczy wojennych.

Wprawdzie zgodnie z instrukcjami swych mocodawców wasale Ameryki posłusznie przyklasnęli traktatowi, nie mniej jednak pozostał on fikcją, choćby z tej prostej przyczyny, że zabrakło pod nim podpisów przedstawicieli Chin Ludowych i Indii, reprezentujących 850 milionów mieszkańców Azji. W swym przemówieniu na konferencji prasowej w San Francisco szef delegacji radzieckiej Gromyko powiedział między innymi:

„Gdy ma się w kieszeni posłuszną większość głosów, nie trudno drogą mechanicznego głosowania przeforsować wszelką rezolucję lub też spowodować odrzucenie wszelkiej propozycji, chociażby najbardziej rozsądnej.

Ta sama posłuszna większość została wykorzystana przez organizatorów konferencji, ażeby doprowadzić do odrzucenia poprawek i uzupełnień do projektu traktatu zaproponowanych przez Związek Radziecki. Ci jednak, którzy doprowadzili do odrzucenia tych poprawek, zdemaskowali się jeszcze bardziej przed narodami, w tej liczbie również przed narodami krajów Azji jako nienasyceni imperialiści, którzy obecnie, omawiając sprawę pokojowego uregulowania stosunków z Japonią, zakładają podwaliny nowej wojny na Dalekim Wschodzie".

Głosy sprzeciwu i przestrogi Związku Radzieckiego i Polski w San Francisco poparte były masowymi protestami, płynącymi ze wszystkich krajów świata, a zwłaszcza z krajów azjatyckich. W Japonii 5 milionów ludzi złożyło swe podpisy pod rezolucję protestującą przeciwko separatystycznemu traktatowi pokojowemu i domagają się wszechstronnego traktatu pokoju.

Mogą sobie imperialiści amerykańscy rozkazywać dowoli swym posłusznym lokajom, nie mogą natomiast zmusić do milczenia setek milionów ludzi na całym świecie, zdecydowanych obronić pokój.

Józef Waliński



TE GI CZEN*)

P E K T U S A N

Poemat

Część pierwsza

1.

Wyżyny, skały — skały i urwiska.
Nie zliczysz — ciągną się łańcuchem długim.
I kiedy
W wędrówce jedną opuścisz dolinę —
Wyłania się przed tobą druga.
A gdy się już na górskie szlaki wdarłeś,
Spostrzegasz: hen, nad głową, w górze,
Stuletnich dębów palczaste konary.
Splecione z konarami cedrów.

Dolina wlecze się pod skalne ściany
I znów opada w dół bezsilnie,
Jak człowiek pracą zmordowany.
A w dali, za nią — długie mile —
Ciągnie się tajga śniegiem zaprószona,
Od której dzikie zwierzę, ptak ucieka
I nie śmie nawet spojrzeć w stronę,
Gdzie położone pasmo gór Czanpeku.

Tam śnieżnych zasp nawiało, wichrów łkanie...
Wśród zasp, wzdłuż skał urwistych i skał nagich,
Jedyny ślad prowadzi przez tę zamieć —
Na północ
Kto iść miał odwagę?

Czy może to myśliwy zabłąkany
Żywiołom ślepo swe powierzył losy?
Czemu na północ, w stronę Pektusanu,
Którego przeszłość siwym mchem porosła
I który w dół lawiny lodowate
Strząsając — trwoży lodowatym wiatrem?

2.

Przypatrz się dobrze wydeptanym śladom:
Zbłąkany człowiek nigdy tak nie chodzi.
Tu wczoraj oddział ludzi się przekradał
Zaopatrzony w broń i w białą odzież.
Było ich stu.
Uważnie spójrz —
Na północ przedzierając się — odległą,
Ślad jeden tylko zostawili w śniegu.

Dziś tędy — popatrz — idą Japończycy,
Po pas się zapadając w zaspy sine.
Przed nimi biegną węszące owczarki,
Bagnetów ostrza lśnią na karabinach...
...I oficerskie błyszczą okulary.

— Jednego tylko widzę ślad człowieka —
Oficer stwierdził, i o oddział cały
Pytając: „Gdzie te diabły"...
urwał.
Dokończyć zdania mu się nie udało.
W mroźnym powietrzu trzask się rozległ suchy —
Oficer upadł. Już nie spojrzał, z której
To strony wystrzał niespodzianie gruchnął.
I zaraz nagle wdarł się w ciszę martwą
Szczęk kulomiotu, karabinów strzały...
Dolinę wypełniły lodowatą,
Gdzie echa je trzykrotnie powtarzały.

— Ej, naprzód! Siecz! —
...I białe ich kapoty
Runęły, jakby z gór lawina głazów —
Na Japończyków głowy.
I w walce wręcz
Bagnety metalicznie w dal stepową
Szczęknęły — blaski śniegu odbijając —
Jak błyskawice lśniły raz po razie.

— Bij, towarzyszu,
Bij tak, aby żaden
Japończyk z walki tej żywy nie wyszedł!

3.

To partyzantów wódz do walki wzywa —
Młodzieniec dzielny — wskakuje na skałę.
Ochronny płaszcz, jak orle skrzydła białe
Wydają się do nieba go porywać.
W spojrzeniu ostrze noża, którym włada.

— Bij, towarzuszu,
Bij tak, aby żaden
Japończyk z walki tej żywy nie wyszedł.

I cóż to za młodzieniec klęskę wrogom zadał,
Dowodząc swym oddziałem? Jak się zwie,
Że imię jego bladym strachem pada
I w żyłach mrozi Japończykom krew.

Wśród ludu dawno wieści różne krążą,
O Kim Ir-Senie: rządzi w górach skalnych,
I wszystko mu podlega, wszystko może,
Połączyć nawet szczyty Pektusanu,
Jeśliby tego pragnął. Potem znowu
Na dawne miejsce przenieść je, rozdzielić.
I może nawet jako ptak od szczytu
Do szczytu góry w locie przewędrować,
I oczy jego — gwiazdy dwie świetlane,
Co świecą w nocy, hen, nad Pektusanem.

4.

Gwałtowna bitwa już przebrzmiała.
Żołnierze tajgi — partyzanci,
Zbierają bez pośpiechu broń poległych.
Pokotem leżą Japończycy. Naszych
To ostrzy odwet, z naszych śmierć kindżałów.
A iluż to — panicznie z pola zbiegło,
O swym mikado zapomniawszy,
O tej,
Sławetnej tak, zacności samurajów?

— Ha, ani jeden stąd nie uszedł cało
Z tych, co zostali dostawcami broni! —
Komisarz Czor Cho rzekł spokojnie.
I śmieje się też Kim Ir-Sen uśmiechem
Podobnym do Chambeku kwiatów białych,
Co wiosną wczesną opadają w śnieg.

*) Te Gi Czen — jeden z najlepszych poetów koreańskich, zginął w Phenianie 30 lipca br. Poemat „Pektusan", mówiący o walce partyzantów koreańskich pod wodzą Kim Ir-Sena z Japonią, otrzymał Nagrodę Narodową I stopnia w r. 1948.

PRZEŁ. Z ROS. ZYGFRYD SAWKO.



1 Maja 1951 r. w Anglii

HENRYK KATZ

NA SZLAKU ZDRADY (II)

(Dokończenie z numeru 37)

Niedziela 2 maja — dalsze intrygi bonzów

Strajk powszechny miał się rozpocząć w poniedziałek, dnia 3 maja 1926 r. W n i e d z i e l ę **Bevin, Thomas, Citrine** i inni — z sercami przepełnionymi troską, obawą przed rządem oraz nienawiścią do górników — rozpoczynają swe machinacje i intrygi. Szukają audiencji u Baldwina, chcą wspólnie z nim znaleźć sposoby złamania oporu górników. Ich konferencję z przedstawicielami górników, których namawiają do rezygnacji z walki, przerywa wezwanie do Baldwina. Pokorni bonzowie zgłaszają się u premiera, który, uchylając się od rozmów na temat strajku górników, jedynie informuje ich o „niecnej akcji" drukarzy arcyreakcyjnego, konserwatywnego dziennika „D a i l y M a i l" (popularnie zwanego „D a i l y L i a r" — co znaczy „Dzienny Kłamca"). Zecerzy odmówili, o zgrozo!, drukowania artykułu pełnenajgorszych oszczerstw i wymysłów pod ich adresem. Robotnicy „Daily Mail" uderzyli w zasady „wolności słowa", „wolności", która w warunkach angielskich przysługuje milionerom i lordom. Bonzowie korzą się. **Thomas** potępia drukarzy, ale Baldwin żąda formalnej deklaracji. Gdy zaproszeni przywódcy wracają z pisemnym oświadczeniem, l o k a j Baldwina oznajmia im, że pan premier udał się już spać i nie ma sensu nań czekać. Bonzowie zostali potraktowani jak kopnięte bezpańskie psy.

3-go maja — strajk powszechny rozpoczął się!

W poniedziałek rano, 3-go maja 1926 roku, Anglia budzi się wśród niesamowitej ciszy. Nie słychać syren fabrycznych, sapania lokomotyw i szmeru pociągów, dzwonków tramwajowych czy pokrzykiwania sprzedawców gazet. Nie widać dymów kominów fabrycznych ani czerwonych ogni hut. Bierność, a nawet sabotaż w „sztabie generalnym strajku" zostały zneutralizowane przez entuzjazm, energię, inteligencję oraz sztukę improwizacji, jaką okazali robotnicy angielscy i ich czołowi aktywiści terenowi.

Proletariackie organy strajku powszechnego

Faktyczna władza w kraju w chwili rozpoczęcia strajku przeszła do rąk setek lokalnych komitetów strajkowych. Z każdym dniem rosła sprężystość i organizacja walki proletariatu. Powstały Komitety Akcji, na wzór Komitetów dla walki z interwencją antyradziecką w latach 1919—1920. Obejmowały one jak najrozleglejszy wachlarz organizacyj robotniczych. W setkach miejscowości zorganizowano pikiety strajkowe, które szybko centralizowały się w zasięgu lokalnym i przekształcały w milicję robotniczą. Specjalne komitety rozdawały fundusze i żywność. Powstały komitety „pomocy więźniom wojny klasowej (C l a s s - W a r P r i s o n e r s' A i d). Zorganizowano rozrywki i gry sportowe. Specjalne wydziały propagandowe zajmowały się urządzeniem zebrań i redagowaniem pism drukowanych lub hektografowanych. Żywe słowo gazetek redagowanych bojowo i dowcipnie spełniało doniosłą rolę organizacyjną i agitatorską. Robotnicy zorganizowali łączność, która miała do dyspozycji tysiące rowerów, setki motocykli i samochodów. Robotnicy stworzyli te wszystkie niezbędne organy walki, których nie planowała zupełnie Rada Generalna.

Wśród mas panowała dobrowolnie przyjęta dyscyplina klasowa, z dnia na dzień rosła nadzieja i wola zwycięstwa. Komitety wydawały pozwolenia na wykonywanie koniecznych robót lub na transport żywności. Do komitetów zgłaszali się często przedsiębiorcy prosząc o zezwolenie na wykonywanie tych lub innych czynności. Robotnicy poniżani w swej godności ludzkiej przez kapitał, jego policjantów i „uczonych", wyrzucani na bruk, gdy stawali się zbędnymi, „towar" kapitalizmu, stali się — w tym krótkim okresie czasu — mocodawcami.

Robotnicy drukarscy, unieruchomiwszy kapitalistyczne fabryki kłamstw i demoralizacji, zadali jeden z najcięższych ciosów wrogom proletariatu. Propaganda kapitału mogła polegać tylko na wyzyskaniu radia, skąd wychodziły najbardziej fantastyczne i kłamliwe wieści o przebiegu strajku ("Tu mówi Londyn" — ma swoje tradycje). Lecz niedługo po wybuchu strajku **Churchill** — przy pomocy kilku techników drukarskich koncernu prasowego lorda Beaverbrooka — uruchomił wydawnictwo dziennika antystrajkowego nazwanego „B r i t i s h G a z e t t e". Celem pisma było preparowanie najbardziej prowokacyjnych i kłamliwych wieści, by zohydzić strajk w oczach szerokich mas drobnomieszczaństwa i złamać opór robotników. Rada Generalna od samego początku wyrzekła się broni słowa drukowanego, zawieszono bowiem wszystkie pisma robotnicze. Dopiero pod naciskiem mas, w odpowiedzi na brukowiec churchillowski zaczęła Rada wydawać własny organ pt. „B r i t i s h W o r k e r". Ten tchórzliwy w tonie, defensywny i oportunistyczny organ odegrał jednak rolę raczej demobilizującą.

Pomoc robotników ZSRR i jej odrzucenie przez bonzów

Wkrótce po wybuchu strajku powszechnego w Anglii Prezydium Rady Centralnej Radzieckich Związków Zawodowych (WCSPS), dnia 5 maja wezwało robotników radzieckich do ofiarowania na rzecz strajkujących swych braci w Anglii jednej czwartej części dziennego zarobku. Dwa i ćwierć miliona rubli zostały przekazane niebawem do Anglii wraz ze słowami solidarności i otuchy. Rada Generalna, panicznie bojąca się kontaktów ze znienawidzonym przez burżuazję „bolszewizmem" o d m ó w i ł a przyjęcia pomocy. „Rada Generalna — powiedział Stalin — nie rozumiała albo udawała, iż nie rozumie, że robotnicy angielscy mogą wygrać strajk tylko w warunkach międzynarodowej solidarności proletariackiej, Stąd odmowa Rady Generalnej przyjęcia pomocy finansowej od robotników Związku Radzieckiego i innych państw"[1]) Odrzucając tę pomoc Rada Generalna działała nie w interesie angielskiej klasy robotniczej i górników, lecz w interesie angielskiej burżuazji finansowej.

Kapitaliści tracą „flegmę"

W czasie tych pamiętnych dni majowych strajku powszechnego morale robotników, ich bojowość, stopień mobilizacji i sprawność organizacyjna polepszały się z dnia na dzień. Robotnicy byli upojeni swą nowouświadomioną siłą i nie wątpili o zwycięstwie. Natomiast pewność siebie władzy kapitalistycznej, przysłowiowa „flegma" i „zimna krew" lordów i baronów finansowych szybko się wyczerpywały. Rząd przystąpił do mobilizacji wszystkich stojących do jego dyspozycji sił i środków dla walki ze strajkiem. Policja atakowała pałkami gumowymi i tratowała końmi robotników, masowo aresztowała aktywistów strajkowych. Wezwano do pomocy wojsko. Robotnicy byli nieustraszeni, represje rządu wzmacniały więzie solidarności ducha walki.

Bonzowie łamią strajk

W przeciwieństwie do mas robotniczych jedynie wśród leaderów Rady Generalnej brak było wiary w zwycięstwo. Odwołać strajk bez osiągnięcia koncesyj dla górników nawet im wydawało się jednak niepodobieństwem. Lecz rząd wydawał się nieprzejednanym i nie okazał ani jednego kompromisowego gestu. Wówczas to z pomocą przyszedł „liberał" sir **Herbert Samuel,** który dostrzegł lepiej od konserwatywnych ministrów możliwości złamania strajku przy pomocy Thomasa, Bevina i Citrine'a, Samuel, jako przewodniczący komisji parlamentarnej ogłosił memorandum zawierające propozycje reorganizacji przemysłu węglowego. Samuel proponował, by przedłużono godziny pracy i obniżono płace górników, lecz nie w tym stopniu, jak tego pragnęli poprzednio właściciele kopalń. Zdrajcy z Rady Generalnej uzyskali świetny pretekst dla stłumienia strajku powszechnego. Wbrew oświadczeniu Samuela, że memorandum jest tylko projektem, którego rząd dotąd nie zaakceptował, wbrew protestowi związku górników, Rada Generalna „przyjęła" warunki sir Samuela. Wkrótce robotnikom ogłoszono „zwycięskie" zakończenie strajku. 12 maja członkowie Rady pospieszyli do Baldwina, by mu zakomunikować o swej decyzji. Bevin chwaląc się, że złamanie strajku „wymagało pewnej odwagi" prosił o jakieś pojednawcze oświadczenie ze strony rządu. Baldwin ani jednym słowem nie zdradził, że zgadza się na jaki-

[1]) Dzieła, t. VIII, str. 170.

(Dokończenie na str. 4-ej)

BRONISŁAW CIRLIC

ALOJZY JIRASEK

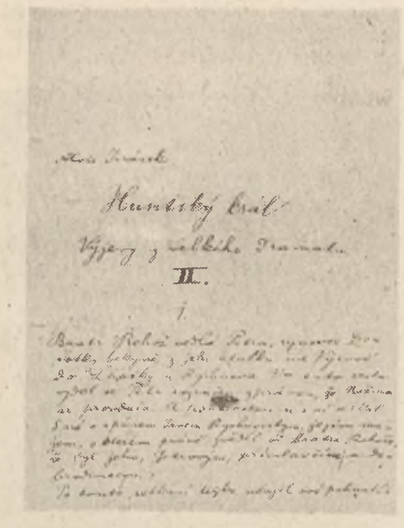
(W STULECIE URODZIN)

Kronikarz ludu czeskiego

„Jego utwory uczą nas prawidłowo pojmować naszą przeszłość, umacniają naszą świadomość narodową, napełniają nas twórczym optymizmem i wiarą w twórcze siły ludu... Nie ma wątpliwości, że twórczość Jiraska ma teraz większe znaczenie niż kiedykolwiek".

Klement Gottwald

Alojzy Jirasek pochodził z ludu. Urodził się 23 sierpnia 1851 r. w miasteczku Hronow u stóp Gór Orlickich. Mawiał: *„Pochodzę z rodu chłopskiego. Jego dzieje są proste; losy czeskiego chłopa są jego losem"*. Ojciec Jiraska był tkaczem-chałupnikiem, później biednym piekarzem wiejskim. W domu rodzinnym i rodzinnych okolicach od wczesnych lat dzieciństwa przyszły pisarz zapoznawał się z życiem ludu czeskiego. Cechowało go przez całe życie

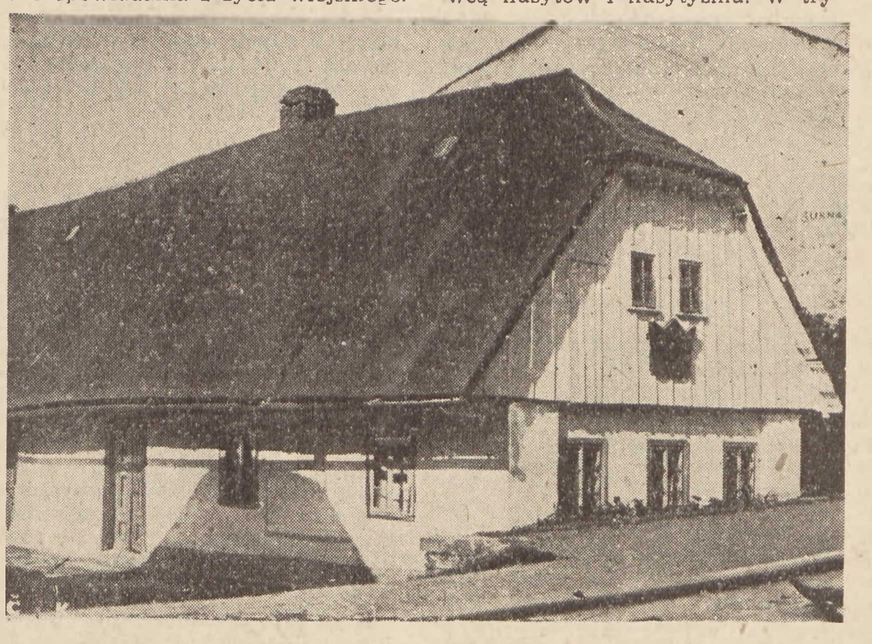


Fragment rękopisu „Król Husytów"

głębokie przywiązanie do swoich stron rodzinnych. W literaturze zaś pozostawił im najpiękniejszy pomnik: „O p o w i a d a n i a z g ó r" oraz wspaniałą kronikę życia chłopskiego w epoce odrodzenia „U n a s".

Alojzy Jirasek wszedł do literatury czeskiej w siedemdziesiątych latach ubiegłego stulecia, w okresie gdy burżuazja czeska w walce z burżuazją niemiecką i feudałami osiągnęła już najważniejsze pozycje i odżegnując się od reform radykalnych i bojowych haseł rewolucyjnych wzmacniała swoje stanowisko klasy panującej. W tej sytuacji część pisarzy przechodzi na pozycje zwycięskiej burżuazji, oddając swoją twórczość na jej usługi, zdradzając równocześnie sprawę tyle już razy okłamanego ludu. Druga zaś część jeszcze silniej zwarła się z ludem i twórczością swoją rewolucjonizuje go, uczy, dodaje otuchy i siły. Wśród nich znajdzie się i Alojzy Jirasek, który wyrasta na wielkiego pisarza narodowego, staje się nauczycielem miłości ojczyzny, ludu i wszystkiego, co postępowe, o co lud czeski walczył na przestrzeni dziejów i co najlepszego stworzył.

W utworach poetyckich (1871—1876), którymi Jirasek rozpoczął swą twórczość już wyraźnie rysuje się protest przeciw niewoli i uciskowi. Symbol tego ucisku widział pisarz w siedzibach pańskich. *„Och, wszak jestem synem burzy!"* woła w jednym ze swych wczesnych utworów, wytyczając tymi słowami drogę całej swej przyszłej, przeszło pięćdziesięcioletniej twórczości. Jako student historii Jirasek pisze krótkie opowiadania z życia wiejskiego,



Dom w Hronow, w którym urodził się Alojzy Jirasek

w których rysuje obrazy trudnego życia górali i tkaczy-chałupników ze swych stron rodzinnych. Dalekie są te nowele od dość powszechnej w owych czasach ludomańskiej sielankowości. „O p o w i a d a n i a z g ó r" wniosły świeży powiew do czeskich utworów o tematyce wiejskiej. Są one także największym na owe czasy osiągnięciem realizmu krytycznego w czeskiej noweli wiejskiej. Nie była to sztuka dla sztuki. *„Zmagamy się* — mówił Jirasek — *walczymy o życie. A życie narodu nade wszystko. Wszystko musi walczyć o nie. Sztuka też!"*

Wkrótce sięgnął artysta-historyk z zawodu i zamiłowania — do dziejów ojczystych. *„Starałem się"*, powie po latach Jirasek, *„opisać naszą przeszłość, przyczynić się do lepszego jej zobaczenia i zrozumienia. Lecz nie czyniłem tego jak marzyciel, który ma oczy zwrócone tylko ku przeszłości, a nie widzi ciężkiej walki swego ludu w czasach dzisiejszych. Całą swą duszą przeżywałem tę walkę, odczuwałem, że trzeba popatrzeć i na naszą przeszłość, bo ten, kto nie zna dnia wczorajszego, nie potrafi zrozumieć dnia dzisiejszego. W przeszłości nie wszystko jest martwe. Bojownicy polegli, lecz walka została"*. Zgodnie z przytoczonym sformułowaniem Jirasek wybierał takie okresy dziejów ojczystych, które pozwalalały mu zobrazować najlepsze rewolucyjne i demokratyczne tradycje narodu czeskiego.

Pierwszy większy utwór A. Jiraska to „S k a l a k o w i e"[1]) (1874), powieść o ciężkiej doli chłopów pańszczyźnianych, o ich oporze i powstaniu przeciwko panom w 1775 r. Pisał ją młody Jirasek w rodzinnym miasteczku Hronowie, w ubogiej izbie ojcowskiego domu, z widokiem na nienawistny zamek Nachodzki, który pozostał symbolem wyzysku i przemocy. Myśli, które nurtowały Jiraska podczas przechadzki po starym zamku nachodzkim, zdradzi nam zakończenie „Skalaków": *„Duszę moją wzruszyły udręki ludu. Widziałem jego nędzę i niedolę; usłyszałem tu, w tej wielkopańskiej siedzibie, bolesne westchnienia. Był to obraz szary, malowany smutnymi barwami. Od posępnego jego tła tym jaśniej jednak odbijała promienna myśl o wolności. Była to walka o prawa ludzkie, obrona dręczonego przed ciemięzcą. — Sto lat ojcowie cierpieli. Potomkowie ich zaznali już wolności! Na nich jednak ciążą obowiązki wobec narodu. Mają być jego trzonem i jego potęgą!"*

Przytoczone słowa są jakgdyby kluczem do zrozumienia dalszego wielkiego dzieła Jiraska, jego stosunku do przeszłości narodu. Nic dziwnego zatem, że główną domeną twórczej działalności Jiraska w zakresie powieści historycznej staje się okres wspaniałego rewolucyjnego zrywu narodu czeskiego, okres



Alojzy Jirasek na tle rodzinnego miasta Hronow

walk husyckich, skierowanych przeciwko przemocy feudałów i kościoła katolickiego. Był to ten okres w dziejach gdy oczy całej Europy — możnych ze strachem, uciskanych z nadzieją — były zwrócone ku Czechom. Ta wielka rewolucja ludu czeskiego owładnęła wyobraźnią A. Jiraska, który stał się największym w literaturze światowej piewcą husytów i husytyzmu. W trylogii „M i ę d z y p r ą d a m i" odsłonił pisarz przyczyny wybuchu rewolucji husyckiej i dzieje początków husytyzmu, przypadające na lata 1381—1409. W dramacie historycznym „J a n H u s" nakreślił sylwetkę i kres drogi życiowej wielkiego reformatora. Trylogia „P r z e c i w k o w s z y s t k i m"[2]) odtwarza działaczy husytyzmu w okresie jego największego rozmachu (1419—1420), gdy zjednoczone gromady husyckie walczą przeciwko wszystkim, odpierają ataki całej feudalnej Europy i zwyciężają. Nakreślił nam w niej Jirasek m. in. niezapomniany obraz komunistycznego „miasta wyzwolonego" Taboru, zbudowanego rękoma braci husyckich, gdzie *„nie ma i nie będzie panów i poddanych"*, gdzie *„nie ma nic mego ani twego, lecz nas wszystkich"*, gdzie *„ustały wszelkie powinności i daniny"*, gdzie są *„wszyscy równymi braćmi i siostrami"*. W zróżnicowanym już ruchu husyckim pozostaną dla Jiraska prawdziwymi husytami właśnie ci komunistyczni taboryci, jako najbardziej konsekwentni i najściślej związani z ludem. Z tych czasów pochodzi również obraz dramatyczny „J a n Ž i ž k a", dotyczący postaci i walk tego działacza od roku 1421 do 1432. W dramacie historycznym „J a n R o h a c z" przenosi nas autor od bohaterskiego czasu sławy i mocy husyckiej do bitwy pod Lipniem (1434), wielkiej klęski husytów i tragedii Taboru. Jest to niejako wstęp do wielkiego cyklu rapsodycznego „B r a c t w o", przedstawiającego upadek i rozkład siły husyckiej.

Z okresu wytchnienia po burzach i skupiania sił do nowych walk wyróżniają się „K r ó l h u s y c k i" i udostępniona czytelnikowi polskiemu starodawna sielanka „M a r y l a"[3]). Według słów samego Jiraska jest to po prostu opowieść z dziejów czeskich, z okresu kilku szczęśliwych lat dawno minionych, które nastały po strasznej zawierusze. Na nową groźną burzę nie trzeba było długo czekać. Przyszła bitwa pod Białą Górą (1620 r.), którą stoczyły w czeskim okresie (1618—1623) wojny trzydziestoletniej (1618—1648) czeskie oddziały unii protestanckiej broniące niezawisłości kraju przeciwko katolickiej legii Bawarii i imperium habsburskiemu. Po zwycięstwie odniesionym nad mniejszymi liczebnie wojskami czeskimi feudalna reakcja katolicka Habsburgów po bestialsku się rozprawiła ze swymi przeciwnikami. Czechy na trzysta lat utraciły swą polityczną niezależność, zostały zamienione na austriacką prowincję — Bohemię. Naród czeski germanizowano, prześladowano, likwidowano. Nikczemną rolę w tym „zbożnym" dziele odegrał kościół z papieżem i wyższym duchowieństwem na czele. Okres ten uwiecznił Jirasek w swych licznych utworach. „P s i o g ł o w c y"[4]) to jedna z najlepszych rewolucyjnych powieści czeskich. Bohaterami jej są Chodowie, zamieszkujący pogranicze bawarskie. *„Od najdawniejszych czasów byli ludem wolnym, niepodległym żadnej zwierzchności, żadnym panom, jedynie samemu królowi"*. Tak oto Jirasek szkicuje ich dzieje. *„W obrębie ich terytorium żaden szlachcic nie mógł nabyć majątku i osiedlić się. Chodowie nie odrabiali pańszczyzny ani żadnych innych robót przymusowych, które tak bardzo dawały się we znaki całemu ludowi wiejskiemu. Wolno im było korzystać z lasów, w których straż pełnili i polować bez przeszkód. W całym królestwie ani ceł, ani myt nie płacili, a w okręgu swym mogli swobodnie uprawiać rzemiosło. Wolno im było przenosić się dowolnie z miejsca na miejsce, przyżeniać się i odbywać gromadne wiece"*. Tak to było do bitwy pod Białą Górą. Po klęsce Chodzko zostało sprzedane nowemu panu, który nie chciał uznać ich przywilejów. Miłujący swobodę Psiogłowcy dzielnie bronili swych praw przed przemocą. Przeszło sześćdziesiąt lat trwał ten nierówny bój, który z twórczą pasją, niepowszednim talentem i żywym współczuciem odtworzył Alojzy Jirasek. „Psiogłowcy" to jedna z najpopularniejszych i najbardziej lubianych czeskich książek.

Wbrew dość powszechnej opinii starszych i sobie współczesnych historyków-teoretyków i pisarzy Jirasek nie uważał okresu po Białej Górze za grób narodu czeskiego, lecz tylko za smutny epizod w jego dziejach. Za najsmutniejszy zaś okres uważał wiek XVIII, kiedy to ciemięzców obcych zastąpili swoi: mieszczanie, magnaci, a nawet drobna szlachta. Był to okres beznadziejnej ciemnoty, dla którego Jirasek nie znalazł innego miana jak tylko „C i e m n o ś ć". Jest to najbardziej ponury, najciemniejszy obraz czeskich dziejów, jaki wyszedł spod pióra Jiraska.

Alojzy Jirasek kilkakrotnie zatrzymuje się w swych utworach i na wypadkach dziewiętnastowiecznych. Lata Kongresu Wiedeńskiego 1815 roku ożywił Jirasek w powieści historycznej „U r o k i ś w i a t a"[5]). Dla nas w tej powieści szczególnie ciekawe jest to, że głównymi jej bohaterami są: Czech, Francuz i Polak, że Jirasek porusza tutaj z całą sympatią sprawę Polski i jej losów. W „F. L. V e k u" ukazuje epokę odrodzenia czeskiego, brzemienną w wydarzenia wielkiej wagi społeczno-politycznej w skali ogólnonarodowej. Wydaje to dotąd najobszerniejsze beletrystyczne dzieło literatury czeskiej, w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Sposobem wprost kronikarskim śledzi odrodzenie od lat 1769 do 1848 i żywot mnóstwa pobocznych, ale ważkich postaci oraz głównego bohatera Franciszka Ladisława Veka. Wiosna Ludów doczekała się upamiętnienia w twórczości Jiraska w jego „Historiach drobnomieszczańskich" ze środowiska litomyślskiego, którymi zapoczątkował serię realistycznych opowiadań z życia miejskiego. W przemiłych, tryskających humorem „S t u d e n c k i c h d z i e j a c h"[6]) przenosi nas w lata 1847 i 1848 i pokazuje jak wydarzenia pamiętnego roku 1848 oddziaływały na jego bohaterów. Opowiadanie „N a s t a r e j p o c z c i e"[7]) to smutne pendant do „Studenckich dziejów", gdzie zamiast wesołych studentów z wolnościowej legii akademickiej nakreślił Jirasek studenta, który ginie pod bagnetem żandarma.

Mylnym byłoby mniemanie, że Jirasek pochłonięty swoimi wielkimi dziełami historycznymi oddalał się od spraw współczesnych. Wszystko przecież, co z dziejów ojczystych artystycznie ożywił, dobrał pod kątem potrzeb współczesności i walki o lepszą przyszłość swego ludu. Brał również czynny udział w życiu społeczno - politycznym, szczególnie w walce narodu czeskiego o wyzwolenie narodowe. Na sprawy bieżącego życia ostro zareagował również w szeregu obrazków i opowiadań, jak: „O p o w i a d a n i e z a r c h i w u m", „P o d ł u g a b e c a d ł a", „D o N i e m i e c", „P i o t r K m i n e k", „D r u g i k w i a t", „N a O s t r o w i u" i wiele innych.

❖

Wielce pobieżny rzut oka na całokształt twórczości Alojzego Jiraska, która jest jedną, wielką, niezwykle bogatą, urozmaiconą kroniką ludu czeskiego, wspaniałym obrazem zmagań wyzutych z praw i uciskanych, bodźcem do niegodzenia się z niesprawiedliwością i niewolą narodową i społeczną — pomoże nam zrozumieć wrogi stosunek do spuścizny literackiej Jiraska urzędowej burżuazyjnej krytyki literackiej i samej burżuazji czeskiej. Do krytyków-estetów, którzy ganili „prostactwo" Jiraska, przyłączyli się klerykalni gorliwcy, którzy nie mogli darować Jiraskowi jego ujęcia rewolucyjnych epok husytyzmu i odrodzenia jako największych i najowocniejszych okresów w życiu narodu.

Już wówczas jednak postępowa krytyka z najlepszym znawcą twórczości Jiraska — profesorem Zdeńkiem Nejedlym na czele, opierając się na opinii szerokich rzesz czytelników ze sfer ludowych, inaczej odczytała dzieło Jiraska. Znajdywała w nim otuchę, poparcie, pomoc i broń w walce o sprawiedliwość społeczną i wyzwolenie narodowe. Nic też dziwnego, że podczas okupacji hitlerowskiej książki Jiraska znalazły się na indeksie a za czytanie ich groziło więzienie, obozy koncentracyjne i śmierć. Bo ciemięzcy i wyzyskiwacze wszelkiego autoramentu nie lubili Jiraska.

W ludowej Czechosłowacji szerokie rzesze czytelników uczą się od Jiraska miłości ojczyzny i wszystkiego, co postępowe w dziejach narodu. Prezydent Ludowej Republiki Czechosłowackiej Klement Gottwald w dowód najwyższego uznania ogłosił dzieło Alojzego Jiraska wielkim dobrem ogólnonarodowym, zapoczątkowawszy w 1948 r. tzw. „akcję Jiraska", która się zakończyła w roku bieżącym w setną rocznicę urodzin pisarza. W ciągu tych kilku lat jeszcze bardziej zostało spopularyzowane dzieło Jiraska, ukończono także piękne wydanie narodowe jego utworów zebranych w 32 tomach. W ten sposób dzieła pisane dla ludu stały się w całym tego słowa znaczeniu jego własnością, pomagając mu w walce z kosmopolityzmem, szowinizmem narodowym i resztkami kapitalizmu, w formowaniu nowego człowieka i państwa socjalistycznego.

Bronisław Cirlić

[1]) A. Jirasek: „Skalakowie", przekład autoryzowany Wacława Madejskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, W-wa 1949.

[2]) A. Jirasek: „Przeciwko wszystkim" — w przygotowaniu przez Państwowy Instytut Wydawniczy.

[3]) A. Jirasek: „Maryla", przekład za zezwoleniem autora, Julii Dutkowskiej-Fischerowej, „Biblioteka Groszowa" W-wa 1928, „Książka i Wiedza", W-wa 1949.

[4]) A. Jirasek: „Psiogłowcy" przekład z upoważnienia autora, Julii Dutkowskiej-Fischerowej, „Wiedza" W-wa 1948, pod tytułem „Chodowie" — obraz historyczny, przełożyła Maria Wysłouchowa, W-wa 1902.

[5]) A. Jirasek: „Uroki świata", przekład Zdzisława Hierowskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, W-wa 1950; pod tytułem „Raj świata — obraz dziejowy", przełożył dr Franciszek Krczek, Kraków 1897.

[6]) A. Jirasek: pod tytułem „Historia filozofów", przełożył St. Alberti, „Hoesick" W-wa 1927, „Biblioteka Słowiańska" t. I.; pod tytułem „Studenckie dzieje z dawnych lat", przełożyła Nina Zalewska, „Czytelnik" W-wa 1951.

[7]) A. Jirasek: „Na starej poczcie", przekład Stelly Olgierd, „Biblioteka Domu Polskiego" W-wa 1928; w przekładzie Niny Zalewskiej, „Czytelnik" W-wa 1951.

JERZY BROSZKIEWICZ

ŚLEDZTWO W SEULAMIN

(Fragment powieści)

SYRENA kopalni w Seulamin odezwała się drugiego października o godzinie siedemnastej, minut dwadzieścia. Jej wysoki, wznoszący się i opadający głos, płynął na cztery strony świata — ci, którzy posłyszeli go w Montigny, czy Coubray wybiegali z domów. Pierwsze sekundy nasłuchiwania dłużyły się, trwały niepojęcie długo — a może jednak to nie ten sygnał? Stary Grzesiak, który właśnie siedział przed domem, począł gwałtownie podnosić się z z krzesła — stanąwszy zaś prosto, przyłożył złożoną w muszlę dłoń do ucha, a unosząc w górę trzęsącą się brodę i przymykając powieki słuchał głosu jękliwej syreny w Seulamin.

Gołębie Kuby Roullota krążyły spokojnie i wysoko nad domkami kolonii Montigny.

Ludzie biegli w stronę Seulamin. W Seulamin zaś żony i matki tych, którzy pracowali na popołudniowej zmianie, krzycząc i płacząc biły już pięściami w zamkniętą bramę kopalni. Portier Barret, staruszek o zblakłych, wytrzeszczonych oczach, przykładając dłonie do ust wołał ku nim, że ludzie właśnie wyjeżdżają na górę! Że żadnego wielkiego niebezpieczeństwa nie ma! Że zawiadowca kazał nie wpuszczać nikogo!

Do bramy przedarła się matka Montard — miała na dole męża i dwu synów.

— Otwórz — krzyczała zrywającym się głosem — otwórz!

Wybuch gazu na czwartym odziale nastąpił z powodów nieznanych. Uprzedniego dnia lampy Wolffa nie wykazały najmniejszych nawet jego obecności — kontrola, którą przed drugą zmianą poprowadził pomocnik sztygara Courbet, również dała wynik zadawalający. Tymczasem kilka minut po piątej przez kopalnię przeszedł wpierw ciężki dreszcz, następujący zaś tuż po nim huk i podmuch wybuchu poderwał ludzi do ucieczki. Przez niskie, jak krecie dziury dowierzchnie trzeciego oddziału czołgali się na kolanach i łokciach dysząc z wysiłku, przerażenia duszącego gardła, jak dym. Nowe wybuchy nie nastąpiły, ale w kilka niepomiernie dłużących się minut po wybuchu od strony tym razem piątego oddziału rozszedł się dudniącą falą nowy wstrząs. Był to strop chodnika, od którego zaledwie przed trzema tygodniami wyciągnięto dwie wąskie i niskie dowierzchnie do nowego, dość jak na Seulamin wysokiego pokładu.

Po kilkunastu minutach wiedziano już, że zawalony strop uwięził na obu przodkach siedemnastu ludzi. Wśród nich znajdował się młodszy Montard.

Wybuch gazu był stosunkowo niewielki — paliły się wszystkiego dwa metry chodnika. Dym szczęśliwie poszedł w stary przekop, seulamińska zaś wilgoć czyniła ogień niegroźnym. Łatwo go było uwięzić między tamami, z których pierwszą zamknięto już na kilka minut przed szóstą.

Na piątym oddziale pracowały od piątej trzydzieści obie drużyny ratownicze kopalni Seulamin — o szóstej zjechała na dół drużyna z Montigny. Ludzi z Montigny prowadził Just, który w chwili wybuchu pracował na trzecim oddziale i od razu po katastrofie zgłosił się ochotniczo do akcji ratowniczej.

W połowie drogi zatrzymał ich pędzący pochyłym korytarzem Joles z pierwszej seulamińskiej drużyny ratowniczej:

— Na piątce pokazuje się gaz... trzeba ściągnąć pompy!

— Czy tamci... stukają? — spytał ktoś półgłosem.

— Stukają.

— A jak dojdzie do nich gaz?

Nikt nie odpowiedział. Joles pobiegł dalej łomocąc drewniakami potykając się na zwrotnicach — jego cień sadził po ścianie wielkimi skokami.

O ósmej wieczór zjechali na dół do akcji ratowniczej ochotnicy z Montigny: Kula, Rouget, Hud, Mohammed, Kuba Roullot. Małgosia gryzła frędzle czerwonej chustki patrząc na Kubę, który szedł przez podwórzec kopalni nie oglądał się i tylko gwizdał „ich" piosenkę: „Nous serons toujours heureux...

Razem z tą grupą zjeżdżał też zaproszony do komisji inżynier-zawiadowca z kopalni Montigny, który już przy pierwszych wyjaśnieniach udzielonych mu przez drugiego inżyniera z Seulamin — owego wysuszonego, żółciowego człowieka — począł nerwowo mrugać powiekami, co oznaczało rodzący się przypływ wielkiego gniewu.

W biurze dyrekcji czekali tymczasem na ostateczny wynik badań komisji sędzia śledczy z Donai i zastępca komisarza okręgu. Zawiadowca kopalni Seulamin i obaj dyrektorzy gościli ich w dyrekcyjnym gabinecie Bourgundem z 17 roku, który odnalazł w swych zapasach sam zawiadowca.

Meldunki z dołu donosiły o pomyślnym przebiegu akcji wypychania sączącego się na „piątkę" gazu sprężonym powietrzem. Zawiadowca odebrawszy ostatni z meldunków zaczerwienił się z zadowolania. Lampka wina drżała w dłoni — skłonił grzecznie głowę:

— Na zwycięstwo — rzekł silnym głosem.

Sędzia śledczy ledwo umoczył wargi. Siedział wraz z wicedyrektorem kopalni nieco na uboczu i prowadząc swobodną, lecz przyciszoną rozmowę już wypunktowywał sobie pewne pytania do mającego wkrótce rozpocząć się śledztwa. Zgadzał się z przekonaniem wicedyrektora, że nastąpił tu jedynie nieszczęśliwy zbieg wypadków. Słuchając więc wicedyrektorskich na ów temat opinii w zamyśleniu gładził wygolony podbródek długimi, wąskimi palcami i komponował sobie układ zeznań do protokółu.

Zastępca komisarza natomiast chętnie dotrzymał kroku zawiadowcy, który podróżował i znów wyglądał świeżo, czysto, młodo nawet. Sędzia śledczy wodząc wzrokiem po gabinecie przypomniał sobie o pytaniu, które powinien był zadać jeszcze w rozmowie prywatnej. Przychylił się do ucha wicedyrektora:

— Czy — spytał obojętnie — w zespole kierowniczym kopalni znajdują się członkowie partii... partii komunistycznej?

Wicedyrektor, który był w Seulamin wicedyrektorem od ośmiu lat uśmiechnął się kącikiem ust.

— N-no... nie.

— A-cha — kiwał w zamyśleniu głową sędzia — a-cha...

Pierwszy dyrektor odbierał właśnie telefon z dołu. Nie słyszał dobrze, krzyczał w słuchawkę „co... co... co?" czerwieniejąc z wysiłku i złości. Nagle zatrzepotał ręką, jak ptak skrzydłem, przymknął oczy — szum w słuchawce ustał, słyszał więc już wszystko wyraźnie.

— Pierwsza ofiara... — powiedział odkładając ostrożnie słuchawkę na aparat — w chodniku... podczas katastrofy... był wozkarz: Geraldin...

Sędzia śledczy zdjął okulary i powoli przecierał je kremowym skrawkiem irchy. Zetknął się wzrokiem ze spojrzeniem zawiadowcy, nie wiedział jednak o tym z tej prostej przyczyny, że był krótkowidzem.

Ci, którzy wyjechali z zagrożonych oddziałów — czwartego i piątego — powiedzieli już, kto został zasypanym stropem chodnika. Część z nich wróciła do akcji ratowniczej — część, których w chwili wybuchu poturbował pęd powietrza — po opatrzeniu kontuzji, odeszła do domów.

Oddział trzeci nie przerwał oczywiście pracy. Wiadomo było, że tym nic nie grozi — ich rodziny jednak także czekały przed bramą.

Jacek odszedł na bok, gdy rozeszła się wiadomość, że wywieziono na górę rannego w akcji ratowniczej przez obsuwający się głaz Jolesa z Seulamin. Miał złamane dwa żebra — jego żonę portier przepuścił na rozkaz drugiego inżyniera. Gdy ją wywołano, miała nieruchomą, spokojną twarz, ściągnęła tylko chustkę na piersiach, jak przed nagłym chłodem. Po kilku minutach wróciła do bramy:

— Słuchajcie kobiety — rzekła wysokim głosem — Piotr mówi, że chłopy stukają... że wyciągnie się ich przed północą. Wszystko jest dobrze...

Joles był już drugim rannym spośród ratowniczych ekip. Do odciętych próbowano przebić się z dwu stron. Przez zasypany chodnik i od strony starego przekopu. Ta druga droga była bezpieczna, lecz daleka. Trzeba było bowiem przebijać się przez grubą, skalną, litą ścianę. A równocześnie trzeba było się spieszyć — zasypani stukali, gaz widać nie przeszedł ku nim, nie wiadomo było jednak czy i na jak długo starczy im powietrza.

Najkrótsza droga wiodła przez zasypany chodnik. Tymczasem strop popękał w szczeliny, z których co chwila obsuwały się okruchy skał, ściekały strumyczki wody i szlamu — jedna ze szczelin wiodła zapewne swym ostrym językiem do jakiegoś podskórnego jeziorka. Na szczęście lampy Wolffa wykazywały znów brak gazu i ludzie zmieniając się co godzina darli się naprzód zębami i pazurami. Pot spod hełmów ciekł po twarzach, jak łzy — tamci stukali coraz rzadziej. Powietrze?

Gdy portier wywołał nazwisko Geraldina, żona krzyknęła i choć ludzie rozstępowali się przed nią natychmiast, pchała się ku bramy na oślep, bijąc i drapiąc. Potem biegła ku nadszybiu i w pewnej chwili podniósł się z tamtej strony wysoki, świdrujący uszy do utraty tchu



M. Thorez wśród ludu francuskiego.

słuchających, kobiecy wrzask. Ludzie zrozumieli — tłum zaczął się przepychać ku bramie, kobiety znów poczęły głośno jęczeć i płakać.

Jacek zatkał uszy. Czy długo trzeba będzie czekać na ojcowski głos? Ile to razy na łąkach, czy dawniej w szkole, czy potem po meczach i sztafecie mówili z Julem, Filipkiem, czy Gustawem o latach, w których będą już górnikami. Gustawowi, który za rok kończył czternaście lat i miał już zjechać do kopalni, wszyscy chłopcy zazdrościli mniej lub więcej jawnie. Ileż to razy wieczorem, przed snem, Jacek wyobrażał sobie tę piękną chwilę, kiedy to (już w Polsce) zjedzie po raz pierwszy do kopalni — a potem gdy, szybko, bardzo szybko, dostanie po raz pierwszy do ręki wiertarkę i ładunki, gdy po raz pierwszy po donośnym okrzyku „pali się!" przekręci rączką prądnicy, posłyszy huk wystrzału i łomot sypiącego się ze ściany własnego — tak własnego urobku.

Teraz szła chwila innych myśli o kopalni. Oto tam na dole siedemnastu — nie, teraz już szesnastu — a może nawet i nie szesnastu ludzi — czeka na ratunek od górniczej śmierci. Górnicza zaś śmierć może być różna. Nie dwa i nie cztery opowiadania wysłuchał o niej Jacek — ojciec Rouqet był kiedyś przez cztery dni odcięty od żywego świata zwałem oberwanego stropu na jednym z najniższych pokładów w Montigny, gdzie w miarę upływu owych siedemdziesięciu dwu śmiertelnych godzin wpierw do kolan, potem do pasa, do piersi, do ramion podnosiła się spływająca z węglowych ścian woda. Jacek słuchał owej opowieści z przerażeniem — jej obraz budził go po nocach. A jednak i wtedy i w tej chwili ani na centymetr nie cofnąłby stopy przed chwiejnym pokładem mającej zjechać na dół windy. Więcej: teraz, w tej właśnie chwili dałby wszystko — wszystko co potrafiłby dać — by móc stanąć ramię przy ramieniu z ojcem, Rouqetem, Kubą i bić się wbrew wszelkiej groźbie i wszelkiemu niebezpieczeństwu o życie odciętych towarzyszy. By móc uchronić inne kobiety przed tym krzykiem, który wydarł się z gardła Geraldinowej.

Wspierając brodę o podkurczone kolano łowił to wznoszący się, to opadający gwar stojącego w nocnej już ciemności, ledwo rozświetlonej lampy z nad bramy tłumu. Płacz przy ścianie ucichał już co chwila, tak jak cichnie co chwila płacz zmęczonego cierpieniem dziecka. Znad domów Coubray wychylił się sierp młodego księżyca.

Zeznania obu dyrektorów oraz inżyniera - zawiadowcy miały przebieg spokojny i gładki. Wprawdzie sędzia od chwili przekazania meldunku o odnalezieniu zwłok Geraldina porzucił wszelkie formy towarzyskie, prowadził jednak śledztwo w sposób równie rzeczowy jak grzeczny. Zajął gabinet wicedyrektora, nie rozgaszczał się w nim jednak, ani nie panoszył — gdy zaś zawiadowcy udał się na marginesie zeznań bardzo zgrabny kalambur, sędzia skrył lekki uśmiech za wyciągniętą z kieszonki na piersiach chusteczką.

Tok zeznań nie dawał żadnych powodów do niepokoju — śmierć Geraldina, wybuch gazu, zerwanie stropu na ósmym chodniku, wszystko to komponowało się w niezawiniony przez nikogo zbieg nieszczęśliwych wypadków.

Po zawiadowcy zeznawali sztygarzy piątki i czwórki, następnie pomocnik sztygara Courbet, który stanowczo twierdził, że badania, które przeprowadził na początku drugiej zmiany, wykazały całkowity brak gazu w okolicach późniejszego wybuchu.

W trakcie jego zeznań dyrektor odebrał nowe meldunki z dołu — drużyna ratownicza dotarła tak blisko pierwszej nawierzchni, że może porozumieć się z częścią zasypanych głosem i sprawa uwolnienia tych sześciu jest kwestią kwadransów. Co więcej: jak na razie poza Geraldinem nie ma ofiar śmiertelnych — tamci są jedynie kontuzjowani i to raczej lekko.

Wkrótce zaś zapowiedzieli swój ostateczny powrót na powierzchnię drugi inżynier kopalni i zawiadowca z Montigny. Sędzia wyprostował się w krześle z zadowoleniem — zeznania członków komisji pozwolą zamknąć śledztwo wcześniej niż się spodziewał i pożegnać tak nieciekawą sprawę — sędzia nie lubił zarywać nocy.

W tej właśnie chwili dyrektor odbierał ponowny telefon od swego drugiego inżyniera. W miarę jak słuchał, policzki, szyja i czoło zaczęły mu podbiegać krwią — wicedyrektor, który pochwycił jego spojrzenie śpiesznie podszedł do biurka. Dyrektor klął bezgłośnie samym ruchem warg. Na koniec z tą samą cichą pasją wcisnął słuchawkę w widełki.

— Co takiego? — spytał wicedyrektor.

Dyrektor uśmiechnął się niby to pogardliwie, ale ręce mu drżały z wściekłości. Odchrząknął.

Między członkami komisji — wyjaśnił półgłosem — zaistniała różnica zdań. Zawiadowca w Montigny, moi panowie, przeczy teorii nieszczęśliwego zbiegu okoliczności...

Było to przeznaczone dla wicedyrektora i zawiadowcy. Komisarz nie słyszał — drzemał przesłaniając oczy dłonią i pogwizdując szczerbą w zębach. Zawiadowca zerwał się z fotela przewracając niedopitą lampkę wina.

— Cóż to znowu za heca? — pyta. — Cóż znowu...

Wicedyrektor spojrzał nań z niechęcią.

— Po pierwsze: spokojnie. A po drugie — machnął ręką — jeszcze zobaczymy.

Dyrektor już się opanował. Czuł jednak znowu wzrastający ucisk w okolicy woreczka żółciowego — nieomylną oznakę zbliżającego się wielkiego zdenerwowania. Przetarł oczy dłonią — zły los przywlókł go w tę okolicę brzydoty, nędzy i konieczności praktycznej pracy, której nie znał, nie chciał znać i nie znosił. Wolałby tysiąckroć bardziej nadal siedzieć za swym mizernym biureczkiem w ministerstwie, niż tu na fotelu dyrektorskim. I pokiego w ogóle diabła uległ przed dwoma miesiącami namowom wicedyrektora, którego znał piąte przez dziesiąte z jakichś tam ministerialnych spraw, a który w istocie sam się tu rządził, jego ledwie tolerował i co chwila dawał do zrozumienia, o ile ważniejsze jest jego wieloletnie na tym stanowisku doświadczenie i znajomość terenu, od urzędowej nominacji ministerialnego urzędnika na dyrektora zracjonalizowanej kopalni. Teraz więc dyrektor w nagłym ataku złości zmiął jakiś papier i cisnął do kosza.

— Oświadczam kolegom — rzekł — że w najbliższym czasie podaję się do dymisji.

Wicedyrektora rozbawiła ta uwaga.

— To znaczy — uśmiechnął się — chce kolega określić siebie jako winnego?

Jego uśmiechem zaraził się zawiadowca. Pokiwał głową.

— To tak? Ucieka pan, dyrektorze?

— Ach — stęknął — dajcie mi raz wreszcie święty spokój...

— O właśnie — uśmiechał się nadal wicedyrektor — po pierwsze: spokój. A po drugie: jeszcze zobaczymy...

— Zobaczymy — zgodził się zawiadowca.

Był znowu spokojny, wesoły nawet. Uważnie starł chustką ze stolika rozlane wino i wyjął długie, wąskie cygaro. Komisarz chrapał coraz donośniej — po chwili zajrzał do gabinetu sędzia.

— Panów z komisji jeszcze nie ma? — spytał.

Dyrektor bezradnie rozłożył ręce.

— Wyjdę im naprzeciw — rzekł grzecznie wicedyrektor i wyszedł.

Zjawił się z powrotem po kilkunastu minutach. Za nim szedł szary ze zmęczenia i zdenerwowania drugi inżynier. Mył się widać zbyt pośpiesznie, bo w zmarszczkach jego oczu i bruzdach policzków pozostały ślady węglowego pyłu. Powieki miał czerwone, jak u królika.

— Skandal — powtarzał — bydlęcy skandal... To jest tylko zawiść i zła wola! Złośliwość... złośliwość w najwyższym stopniu!

— Może pan inżynier — szepnął dyrektor — będzie łaskaw ciszej i będzie łaskaw odpowiedzieć...

Krzykliwy głos inżyniera obudził komisarza. Komisarz przetarł nieznacznie oczy i rozejrzał się z zażenowaniem, od razu przybierając bardzo trzeźwą postawę. Nic nie pomogło, bo odcisnął sobie na policzku dwa guziki z rękawa.

Tamci jednak nie zwracali nań uwagi.

— Ten idiota z Montigny — mówił drugi inżynier — ten kretyn chce zdaje się rozhuśtać jakąś grubszą sprawę. Związał się z tym... tym Justem, z delegatami związkowymi do komisji. Twierdzi, że za katastrofę należy winić kierownictwo, sztygarów, oddziałowych, Couberta...

— Co? — spytał cichym głosem

— Żąda dodatkowego śledztwa — ciągnął inżynier. — Nawet Just się odgraża...

— A kto to jest ów Just? — spytał przytomnie komisarz.

Wicedyrektor zwrócił się ku niemu zręcznym półobrotem, który był już półukłonem.

— Sekretarz tutejszej organizacji komunistycznej, panie komisarzu — wyjaśnił z naciskiem.

Komisarz pokiwał głową w milczeniu.

Sędzia powitał zawiadowcę z Montigny po swojemu: bardzo grzecznie, bardzo chłodno.

— Inżynier Millet, nieprawdaż? — spytał, podając rękę na powitanie.

Po kilku już zdaniach Milleta sędzia począł zapominać o swym nienagannym, chłodnym stylu bycia.

— Zwracam panu uwagę — mówił Millet wysokim, podniesionym głosem — że przesłuchał pan niemal wyłącznie osoby, które są w istocie odpowiedzialne za katastrofę. Przesłuchał je pan i uwierzył im pan! A dlaczego, pytam nie przesłuchał pan ludzi z dołu, co? Tych, którzy byli najbliżej i wiedzą najlepiej co się na tej zafajdanej kopalni dzieje?

Sędzia przeglądał notatki dotychczasowych zeznań. Palce mu drżały. Spojrzał na Milleta znad okularów.

— Czy pan ma mi zadawać pytania? — spytał. — Czy ja panu? Zaczynam już zapominać...

Millet w pierwszej chwil nie pojął o co mu chodzi. Pojąwszy jednak opanował się z najwyższym trudem.

— Nie rozumiem — mruknął nabijając fajkę.

Sędzia potrafił już się nawet uśmiechnąć.

— Czy nie przesadza pan w swej podejrzliwości?

Fajka, kopciuch, zapałki wszystko to poleciało na ziemię. Millet wsparł się dłońmi o biurko — pochylił przekrwioną twarz nad sędzią i mówił swoim ochrypłym, skrzypiącym głosem, prosto w jego zdumioną twarz.

— Spytaj pan Geraldina! Albo Geraldinowej! Albo idź pan sam szukać drogi do zasypanych. Albo siedź pan dzień w dzień pod ziemią, czołgaj się pan na kolanach na niziutkim pokładzie i bij się pan o węgiel dla kraju. Nauczysz się pan podejrzliwości aż za dobrze...

— Przywołuję pana do porządku — powiedział bardzo ostro sędzia.

— Zgoda — nagle uspokoił się, uśmiechnął nawet Millet — zgoda. Ja też na przykład lubię porządek.

Schylił się z trudem po fajkę, zapałki, kopciuch, zebrał troskliwie rozsypany tytoń i usiadł. Wtedy dopiero mówił dalej.

— Korzystając z mych uprawnień, jako członek komisji bezpieczeństwa żądam zatrzymania sztygara Periera, a przede wszystkim pomocnika sztygara Couberta, który jak się okazuje wcale nie sprawdzał dziś obecności gazu na oddziale czwartym. Żądam ponownego przesłuchania dyrektora kopalni i zawiadowcy, którym wielokrotnie delegat górniczy Just zwracał uwagę na skandaliczne warunki bezpieczeństwa pracy oraz na karygodne, graniczące z sabotażem, wielokrotne niedbalstwa sztygara Periera i jego pomocnika Couberta. Żądam przesłuchania górników Justa i Basta na wszystkie powyższe okoliczności. Żądam zaprotokółowania moich żądań.

— Dziwi mnie — krzywił się zjadliwie sędzia — nie tylko ilość pańskich żądań. Dziwi mnie też gorliwość jaką pan wykazuje w opiece nad kopalnią Seulamin. Pan pracuje w Montigny, co?

Millet rozpalając fajkę wzruszył pogardliwie ramionami.

— Nie uda się już panu — mówił leniwie — wyprowadzić mnie z równowagi. Seulamin mnie obchodzi, bo obchodzi mnie także cały Nord, cały węgiel. A węgla nie ma, Tu zaś, w Seulamin, dzieją się świństwa: górnicy od dawna podejrzewają Couberta o sabotaż, kierownictwo jest pod psem, ludzie starają się o wydobycie, a dyrekcja robi co może, by nic nie robić. I w końcu dzisiejsza katastrofa jest wynikiem niedbalstwa, jeśli nie sabotażu! Jeszcze?

Sędzia skinął głową, elastycznym krokiem podszedł do drzwi i szeroko je otworzył.

— Panowie pozwolą — rzekł uprzejmie, niemal wesoło.

Jerzy Broszkiewicz

NA SZLAKU ZDRADY

(Dokończenie ze str. 3-ej)

kolwiek kompromis. Na drugi dzień rząd ogłosił, że robotnicy s k a p i t u l o w a l i „b e z w a r u n k o w o".

Jak wynika ze sprawozdań komitetów strajkowych ogłoszonych przez Robotniczy Instytut Badań (Labour Research Departament) 12 maja robotnicy nigdzie nie okazywali osłabienia, wciąż rosła wola walki, wiara w zwycięstwo[2]). Toteż nie od razu udało się agentom burżuazji w Radzie Generalnej strajk złamać. Kapitaliści triumfując z powodu ogłoszonej oficjalnie kapitulacji zapowiedzieli natychmiast zmiany w warunkach pracy i płacy, które uderzyły w robotników najrozmaitszych gałęzi przemysłowych. Robotnicy kontynuowali strajk, dopóki kapitaliści nie wycofają swych „warunków zwycięstwa". Robotnicy zdezorientowani i zdradzeni przez swych przywódców wracali powoli do pracy. Górnicy strajkowali nadal — aż do grudnia tego roku. Zdrada wodzów Rady Generalnej i niektórych własnych przywódców związkowych, utworzenie łamistrajkowego związku zawodowego w środkowej Anglii, wyczerpanie materialne i moralne zmusiły górników do poddania się. Przedsiębiorcy przedłużyli czas pracy i obcięli płace.

Konsekwencje

Burżuazja angielska wykorzystała to swoje zwycięstwo dla dalszego ataku na klasę robotniczą. Już w r. 1927 uchwalono ustawę, która zniosła wiele z poprzednich zdobyczy robotniczych. Związki zawodowe opuściło wielu robotników mniej uświadomionych, rozgoryczonych na zdradzieckich przywódców. Bonzowie jednak odetchnęli z ulgą. Na gruncie kapitulacji przyjęli oni politykę współpracy z przedstawicielami wielkiego kapitału monopolistycznego. Na jesieni 1927 r. reakcyjni przywódcy związkowi doprowadzili do rozwiązania Anglo - Rosyjskiego Komitetu Jedności. Rezultatem tej polityki była tzw. „racjonalizacja" przemysłu, wzmożony wyzysk robotników oraz miliony „zracjonalizowanych" (wyeliminowanych w wyniku usprawnień aparatu produkcyjnego) bezrobotnych, którzy trwonili bezużytecznie swe siły i żyli w nędzy, w tym samym czasie, gdy tydzień za tygodniem przynosił wzrost kapitalistycznych zysków.

Rola partii komunistycznej

W tym samym czasie, gdy przywódcy związkowi biedzili się nad sposobami zdrady klasy robotniczej, komuniści brytyjscy nawoływali do walki i organizowali robotników.

Partia Komunistyczna Wielkiej Brytanii zrodziła się z walki robotników przeciw wojnie i imperializmowi, przeciw zdradzieckim socjalpatriotycznym przywódcom Partii Pracy, przeciw agenturom burżuazji w ruchu robotniczym. Partia stanęła na czele walki przeciw interwencji antyradzieckiej i wyszła z niej zwycięsko. To pod przewodnictwem partii konsolidował się ruch lewicy związkowej, którego wynikiem właśnie był strajk powszechny.

A jednak Komunistyczna Partia Wielkiej Brytanii nie była zdolną do ujęcia bezpośredniego kierownictwa w swe ręce. Złudzenia mas w stosunku do kierownictwa Partii Pracy i Rady Generalnej nie zostały dostatecznie rozwiane. Siła imperializmu angielskiego, materialna i ideologiczna, ciężar gatunkowy „arystokracji robotniczej" w samej klasie robotniczej, agentury burżuazji w ruchu proletariatu — czynniki te wciąż hamowały dojrzewanie rewolucyjnej świadomości.

Oceniając rolę partii komunistycznej Anglii w strajku generalnym Stalin pisze:

„...Należy stwierdzić, że angielska partia komunistyczna jest jedną z najlepszych sekcji Międzynarodówki Komunistycznej. Należy podkreślić, że w ciągu całego okresu strajku w Anglii stanowisko jej było całkowicie słuszne. Ale należy także przyznać, że jej autorytet wśród robotników angielskich jest wciąż jeszcze słaby. I ta okoliczność nie mogła nie odegrać fatalnej roli w toku strajku powszechnego"[3])

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza klasa robotnicza Wielkiej Brytanii i jej awangarda przeszły drogę ciężkich walk i bolesnych doświadczeń, więcej na niej było klęsk, niż sukcesów i zwycięstw. Dlatego po dziś dzień są oni jeszcze w tyle za robotnikami innych krajów europejskich. Historia szybko jednak biegnie naprzód. Zwycięstwo sprawy proletariatu jest nieuniknione. Oto co pisał przywódca proletariatu włoskiego Togliatti po zeszłorocznych wyborach do Izby Gmin w Anglii:

„...We Włoszech, jak i we Francji oraz w wielu innych krajach komuniści stali się tradycyjną organizacją polityczną i przewodnikiem większości klasy robotniczej... W Anglii prędzej lub później stanie się to samo"[4]).

[2]) por. „The General Strike, May 1926: „Trades Councils in Action" wyd. Labour Research Departament Londyn, 1926.

[3]) „Dzieła" tom VIII, str. 171.

[4]) „Unita" z 28 lutego 1950 r.

MARIA JAROCHOWSKA

ZDOBYWCY

Motto: Nie ma złej ziemi, są tylko źli gospodarze.
(W. R. Wiliams).

Przy gablotach najdłużej marudzi Kazimierz Michalski. Stoi, przygląda się, nie odchodzi. Kiedy pochyla głowę, by lepiej przypatrzyć się czemuś na dole, i tak jest jeszcze dużo wyższy od wszystkich innych. Kie-



dy prostuje plecy, można by myśleć, że to reszta delegatów dziwnie się skurczyła, tak bardzo nad nimi góruje wzrostem.

Gabloty tapetują ściany od dołu do góry, szczelnie. Pod szkłem mieszczą się niewielkie przegródki, setki przegródek, jedna obok drugiej, niby komórki plastra miodu. W każdej przegródce widać garść tutaj proszku, tam niby grysiku, gdzieindziej rzadkiej mazi, nigdy niejednakiej. Wysłannicy chłopów polskich zwiedzają właśnie Muzeum Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Odessie. W tej chwili są w sali gleboznawstwa. Owe warstewki nieznanej substancji w szufladkach za szkłem, to ziemia, po prostu ziemia. Zgromadzono w tej sali próbki wszystkich gatunków gleb z całego Związku Radzieckiego. Nic dziwnego, że bez reszty pochłaniają uwagę Michalskiego.

Niby tak dobrze jak każdy rolnik zna tę ziemię. Stąpa po niej codziennie setki razy, lemieszem dociera do jej wnętrza, rozmyśla czego jej potrzeba, waży w ręku jej grudki, pamięta ich zapach, ba, nieledwie smak. Jest najważniejszą treścią jego życia. Potrafi go przygnieść ciężarem ponad siły, gdy zawiedzie, posiada moc uszczęśliwienia, jeśli dopisze.

I oto tutaj za zimnymi szybami wydaje się ta ziemia jakaś bezwonna, obca, tajemnicza.

Nie wyobrażał sobie w ogóle Michalski, że gatunki ziemi mogą być aż tak rozmaite, jedna garść zupełnie do drugiej nie podobna, jakby z innej epoki geolitycznej, jakby zza innego z siedmiu oceanów.

W pewnej przegródce lśni piasek srebrnym jak mika blaskiem. Gdyby nie zasłona ze szkła, chciałoby się go rozdmuchać westchnieniem. W innej klei się muł tak gęsty, że chyba jaskółki mogłyby ulepić sobie zeń gniazdo. Obok glinki różowej i prawie przezroczystej, niczym wnętrze niektórych morskich muszli, widać grudy ciemne, nieomal atramentowe, albo sypki białawy popiół poprzetykany kamykami, albo mięsiste ciasto, albo obrzynki podobne do trocin.

Kazimierz Michalski jak urzeczony wpatruje się w zawartość każdej przedziałki z osobna. Pewno szuka tu garści ziemi podobnej do tej, z którą się boryka.

Okruchy rozmaitego rodzaju gatunków gleb zwieziono z wszystkich okolic rozległego Związku i umieszczono w gablotkach Muzeum nie tylko jako interesujące eksponaty. Ziemię trzeba widzieć, żeby ją zmienić. W Instytucie bada się ziemię, ponieważ musi być ulepszona.

Komu śniło się dawniej, żeby zmieniać ziemię? Wydawała się raz na zawsze ustalona, jak kolejność pór roku, jak kierunek biegu rzek, jak obyczaje roślin.

Nieustraszeni odkrywcy tajemnic życia, bolszewiccy uczeni poddali pory roku woli człowieka i odwrócili kierunek rzek, aby popłynęły ku komunizmowi.

W sąsiedztwie oszklonych szaf, demonstrujących gleby, jakie tylko istnieją, Kazimierz Michalski razem z innymi delegatami zwiedził sale fakultetu, który „wychowuje" drzewa owocowe i warzywa. Pomidory uczy się tutaj wytrwałości, by nie schły na jesieni, lecz po przezimowaniu, znowu w roku następnym rodziły. Powstał nowy rodzaj jarzyny: pomidory wieloletnie.

Jabłonie i wiśnie przystosowuje się do czerpania soków z ziemi, przez długie wieki uznawanej za jałową. Mają rosnąć na piaskach. Mają owocować i korzeniami swymi zatrzymywać wokół siebie glebę lotną i podmuchom wiatru podatną.

Śliwy, czereśnie i grusze, orzechy włoskie i morele zmusza się, by kwitły dwa razy do roku i dwa razy do roku uginały gałęzie pod ciężarem owoców.

W jednym z gabinetów gleboznawstwa w Akademii im. Timiriazewa w Moskwie Kazimierz Michalski zainteresował się malutkim krzewem. Nie było toto wyższe od oziminy w kwietniu. Ale wyglądało jak drzewo. Niby dziecinna zabawka, albo wielokrotnie pomniejszona podobizna na kartce atlasu. Miało miniaturowe gałęzie, blado-zielone listki w kształcie obstrzępionych serduszek i pień nie grubszy od badyla, lecz okryty korą biało-czarną, srokatą. Toż to brzoza! — poznali chłopi z wycieczkowej grupy polskiej.

Rzeczywiście brzoza nie wyższa niż dziesięć centymetrów. Może więc wysadka wprost ze szkółki? — domyślał się Michalski. Nie, przeciwnie. Drzewo jest stare. Ta brzoza ma 35 lat!

Ale wyrosła na tundrze. Skarłowaciała, jak wszystkie brzozy, gdzie indziej smukłe i warkoczami gałęzi zamiatające powietrze, na północy niby garbuski nie o wiele górujące nad mchem.

Kilka takich pokracznych brzózek przewieziono do Akademii. Posadzono je i za pomocą doświadczeń starano zmienić glebę, w której zapuściły korzenie. Wtedy karliczki zaczęły rozwijać się normalnie. Wkrótce wzrostem dosięgnęły metra.

Więc znowu Michalski, delegat z powiatu bydgoskiego, słyszy, że człowiek, jeśli zechce, jest w mocy zmienić ziemię.

Dotychczas Michalski jedynie z ziemią walczył ostrzem pługa. W swej spółdzielni produkcyjnej „Przyszłość" odbierał wraz z całym zespołem coraz nowe hektary ugorom. Pragnął dowiedzieć się w Związku Radzieckim, jak dalszą ofensywę prowadzić najracjonalniej. Dowiedział się, że nie wystarczy ziemię zdobywać, ale trzeba ją równocześnie oswajać. A ponieważ można ją zmienić, można ją, nawet najbardziej się opierającą, ulepszyć.

Wiele nowych myśli i projektów podsunął młodemu zastępcy przewodniczącego spółdzielni Akademik Buszyński. Od 1904 roku był uczniem wielkiego Wiliamsa i najbliższym jego współpracownikiem.

Po swym mistrzu objął katedrę gleboznawstwa w Akademii im. Timiriazewa. Katedra pracuje nieustannie nad tym, aby podnieść urodzajność ziemi.

Bo dopóki Wiliams nie wziął ziemi w obronę, gleboznawcy uważali ją za rzecz martwą. Patrzyli na nią jako na pozostałość ze zwietrzałych skał, proch, w który niegdyś obróciły się kamienie, rozpadłszy się na miliony cząsteczek. Zdawali sobie sprawę, że ziemia psuje się z latami, że jałowieje, ale nic na to nie umieli poradzić.

Wiliams po raz pierwszy odkrył ziemię prawdziwą, taką, jaką jest w rzeczywistości. Zobaczył ją jako twór żywy, jako organizm, w którym trwa ciągłe życie drobnoustrojów. Ludzie są w stanie tym życiem kierować, potrafią je odpowiednio pielęgnować. Do psucia ziemi można nie dopuścić, ziemię można naprawić. Należy jednak czuwać nad jej strukturą. Bo gleba wtedy jest urodzajna, kiedy nasycimy ją pokarmem próchnicy i nawozów, napoimy wodą, w odpowiednich proporcjach, we właściwej równowadze.

Gleba może przypominać mąkę. Wtedy człowiekowi nie sprzyja. W miałko rozpylone cząstki woda z początku wsiąka bardzo prędko. Powstaje błotniste ciasto. Ciasto schnie w skorupę zbitą i bezstrukturalną. Skorupa nie przepuszcza wilgoci do wnętrza ziemi. Rośliny trapi nieustanne pragnienie.

Ale gleba może także przypominać kaszę. Wtedy idzie człowiekowi na rękę. W strukturę rozbitą w grudki, w strukturę porowatą woda wsiąka łatwo i równomiernie jest rozprowadzana. Między grudkami zatrzymuje się potrzebne roślinom powietrze. Ziemia o strukturze porowatej daje sobie radę z posuchą. Grudki magazynują wilgoć na użytek roślin.

Ziemia - kasza to obietnica urodzaju, to czarnoziem, obdarzający człowieka chlebem białym.

A jeśli rolnik taką glebą nie dysponuje? Rolnik radziecki, jeśli taką glebą nie dysponuje, sam ją stwarza, sam ulepsza strukturę ziemi.

Podstawą reformy gleby stał się system płodozmianu trawopolnego, stworzony przez Wiliamsa. I przed odkryciami Wiliamsa ustalono z góry kolejność zasiewów traw i kultur rolnych na polach. Ale stosowano dotąd uprawę traw jednorocznych, łąkowych. Wiliams zalecił hodowię mieszanki koniczyn lub lucerny z trawami wieloletnimi. W ten sposób właśnie zrewolucjonizował glebę. Bo trawy wieloletnie gromadzą w ziemi próchnicę, tak upragnioną przez rośliny. I nie tylko próchnicy przybywa. Korzenie traw przekazują resztki organiczne sprawiedliwie cienką warstwą całej masie gleby.

A korzenie lucerny, korzenie koniczyny długie, gęste i mocne przenikają poprzez całą masę gleby, trzymają się jej nieustępliwie. Nawet gdy powierzchnia jest już przyorana, korzenie nie puszczają ze swych macek skrawków ziemi, nie pozwalają, żeby rozpylona stała się podobna do mąki i dla roślin nieprzychylna. Gleba rozbita zostaje w grudki, robi się porowata. Taka jak kasza. Żyzna i zapowiadająca żniwa pracowite, lecz radosne.

— Nadejdą czasy — przepowiadał Wiliams, rozumny entuzjasta przyszłości — gdy ludzie nad zagadnieniem wydajności ziemi pracować będą zawsze. Gdyż nie tylko maszyny zmieniają gleby, ale człowieczy wysiłek...

Pracować będą zawsze, ponieważ dzięki ich wysiłkom wydajność ziemi stale będzie wzrastać. Tak jak wzrasta obecnie i ciągle.

Według wskazówek Wiliamsa rolnicy oprócz uprawy traw i koniczyn wprowadzają uprawę roślin bobowych i motylkowych. Bakterie wytwarzane przez bobowe niszczą niektóre korzenie traw. Powstaje z nich cenna próchnica. Wapno z bobowych cemetuje ziemię. Skleja ją w grudki i zagradza drogę próchnicy, aby nie odpływała, porywana strumieniami deszczu.

— Najbardziej skomplikowanym rodzajem wytwórczości na ziemi była i pozostanie gospodarka wiejska... — stwierdzał niejednokrotnie Wiliams, wspaniały uczony, świadomy swoich celów.

Skomplikowana gospodarka, a więc bogata w możliwości.

Pod dowództwem Wiliamsa, z Moskwy wydającego rozkazy, ekipy naukowców w całym Kraju Rad, opracowywały plany tej produkcji, ekipy nie lękające się przeszkód, najbardziej skomplikowanej. Uzasadniały one naukowo znaczenie głębokiej orki dla podniesienia urodzajów. Nie tej orki stosowanej na polskiej wsi, orki przewracającej ziemię w skiby co najmniej dwudziestocentymetrowe. Radziecka orka jest orką prawdziwie rewolucyjną.

— Jak, jak, ile? — zapytywali delegaci polscy, nim zanotowali liczbę. Myśleli, że się przesłyszeli.

Nie, nie przesłyszeli się. Lemiesze mechanicznych pługów dosięgają głębokości 60 cm a nawet 80 cm.

Uczeni radzieccy pod przewodnictwem Wiliamsa opracowali reguły odpowiedniego gospodarowania ugorami tak, aby zwiększać plony.

Uczeni radzieccy pod przewodnictwem Wiliamsa ustalili żelazne rygory systemu płodozmianu trawopolnego.

Uprawy muszą być uszeregowane na polach w następstwie po sobie ściśle określonym. Absolutnie nie wolno opuszczać żadnego z ogniw systemu. Kto by płodozmian naruszył, słusznie uważany będzie przez rolników za przestępcę. Ograbia przecież kołchoz z części przyszłego plonu, obniża jego dochód.

Uczeni radzieccy pod przewodnictwem Wiliamsa ustalili jako prawdę żniwa doświadczeń, że należy zmieniać w systemie trawopolnym gatunki traw wieloletnich.

Zmieniać to dla agrotechniki twórczej znaczy wynaleźć nowe i lepsze.

Nowe gatunki traw wieloletnich wyhodowano. Między nimi odznaczył się pożytecznością nowy gatunek perzu. Nie ten chwast przez chłopa w polu znienawidzony, lecz uprawa polepszająca strukturę gleby, smaczny pokarm dla bydła.

Gdyż wiliamowski system płodozmianu stał się ratunkiem, a potem bazą rozwoju nie tylko dla kultur rolnych. Wpłynął również decydująco na hodowlę. Siejąc dużo traw z koniczynami, kołchozy zbierają dużo wysokogatunkowego siana. Posiadając dużo siana, mogą zwiększyć ilość żywego inwentarza. Ho-



Chłopi polscy podziwiają bujną pszenicę na polach radzieckich kołchozów

dując dużo bydła, dysponują większą ilością obornika. Mając dużo obornika, podnoszą wydajność pól.

Jednak, gdy rośnie ilość bydła w gospodarstwie, trzeba mu zapewnić lato obfite w zielonki i pastwiska, zimę sytą w okopowiznę i kiszonki. Zdarza się, że kołchozy nie posiadają tyle łąk i pastwisk, ile potrzeba, by bydłu przybywało na wadze. Wtedy na niżej położonych gruntach wprowadzają jeszcze jeden trawopolny płodozmian. Płodozmian wysokiej mleczności i mięsa wybornej jakości. Pastewny płodozmian łąkowo-pastwiskowy, rozłożony na 5 do 8 lat.

Tak zdobycze nauki Wiliamsa umożliwiają gospodarce zbożowej przejście na wyższy stopień gospodarki hodowlanej.

Tak Wiliams zmienił wytwórczość dotychczas najbardziej skomplikowaną na ziemi w gospodarkę planową. Tak produkcję bezładną, produkcję nieprzewidywanych klęsk i sukcesów zdobywanych przypadkowo, oparł na płodozmianach ustalonych, ze sobą zharmonizowanych, na zgraniu ze sobą gospodarki polowej z pastewną i hodowlaną.

Tak Wiliams odkrył ziemię, nauczył ją rozumieć i wskazał kierunek rozwoju rolnictwa.

Wiliams, zdobywca ziemi kwitnącej, zmarł dożywszy lat siedemdziesięciu sześciu, a jednak młodo zakończył życie.

Pracował niestrudzenie do ostatnich chwil i kiedy naukowiec angielski pytał go, czy może przypadkiem odkrył eliksir młodości, powiedział mu:

— Przeżyłem trzy rewolucje. I nie tylko je przeżyłem, ale brałem w nich czynny udział. W tym się widocznie kryje sekret mojej młodości.

Naczelny agronom bolszewizmu nie zestarzał się za życia, i po śmierci żyje. Uczniowie prowadzą dalej doświadczenia swego przywódcy nad ulepszaniem systemu trawopolnego.

Ze żmudnych prac uczonych i z ich olśniewających zdobyczy naukowych korzysta kołchoźnik, uprawiający len pod Mińskiem i turkmeńska dziewczyna z plantacji bawełny, korzystają z nich rolnicy na Kamczatce i u stóp Kaukaskich Gór. Wkrótce nauka ta bogata i szczodra pomoże rozwiązać problemy gleb pozornie martwych chłopu w węgierskiej puszcie, gospodyni kukurydzianych pól w Bułgarii i członkowi spółdzielni produkcyjnej pod Bydgoszczą. Michalski nauczy się dzięki niej obłaskawić swoje ugory.

Z grona wielkich uczonych, kontynuujących dzieło Wiliamsa Kazimierz Michalski poznał jeszcze jednego.

Działo się to również w Akademii im. Timiriazewa, w jednej z sal wykładowych. Zgromadzili się tutaj przedstawiciele chłopów polskich.

Wbiegł na katedrę prawie pędem, choć plecy miał już dobrze przy-



garbione, a w jego włosach nie znalazłbyś ani jednego ciemniejszego kosmyka, były jednolite, zupełnie siwe. Nosił czarny tużurek, o kroju trochę staromodnym. Wąskie nogawki spodni miał tuż nad butami porządnie zabłocone, niezaschłą jeszcze gliną.

J. W. Jakuszkin przyszedł powitać gości wprost z pól doświadczalnych. Może trudno mu było od nich się oderwać, a potem zadyszał się, aby być punktualnym.

Z zapałem młodzieńca od razu trafił w sedno zainteresowań delegatów. Mówił im o ziemi, którą znają najlepiej, o ziemi żytnio-kartoflanej. Bo choć polska wycieczka głównie zwiedziła rejony pszeniczno-buraczane, agrotechnika radziecka równie intensywnie zajmuje się badaniem gleb pod kultury inne.

Uprawy, które od wieków rosły jedynie na południu, przystosowuje się do prawidłowego rozwoju w klimacie północy. Gatunki ozime zmienia się niby w sposób cudotwórczy na jare i odwrotnie, podnosząc równocześnie ich jakość. Cudów nie ma żadnych. Kluczem do tajemnicy udanego eksperymentu staje się zmiana sposobu siewu i specjalna obróbka ziemi.

Akademik Jakuszkin wyjawia również polskim słuchaczom tajemnicę lnu zbieranego dwa razy w roku i buraków, które gromadzą więcej cukru dzięki samolotom. Chwalił przed nimi zasługi zeschłych badyli kukurydzy i objaśniał, jak pomóc roślinom korzystać ze światła.

Dwa zbiory lnu w roku można przeprowadzać wtedy, jeśli pierwszy urządza się bardzo wcześnie, żnąc len jeszcze zielony. Nadaje się on doskonale na bardzo cienkie płótno.

Zawartość cukru podnosi się w burakach, gdy stosuje się spryskiwanie z samolotów solami mineralnymi, skrapianie superfosfatem lub kwasem węglowym.

Suche badyle chronią zboże przed wymarznięciem. Sieje się kukurydzę, albo słonecznik rzędami wśród pszenicy. Ich łodygi, zostawione na zimę, bronią uprawy przed mroźnymi podmuchami. Wokół pokaźnych krzaków robią się zaspy. Badyle długo zatrzymują przy sobie śnieg, nawet w czasie wiosennych roztopów. Cenna wilgoć przekazana ziemi nie marnuje się.

Roślina korzysta tylko z 2% światła, które na nią pada. Gdyby mogła zagarnąć więcej tego blasku, rozwijałaby się lepiej. Jeśli sieje się rzędy kultur w kierunku z północny na południe, najwięcej światła dociera do roślin i najbardziej z niego korzystają.

Zagadki światła, ziemi, powietrza i wody...

Tajemnice zboża, drzew, trawy, kwiatów...

Przestały być nieuchwytne dla ludzkości, zwodnicze, że niesposób rozszyfrować je po omacku.

Przeobraziły się w zagadnienia. Zagadnienia poważne, lecz człowiekowi dostępne. Zagadnienia rozwiązywane przez człowieka po kolei i pomyślnie.

„Cieniutka, ledwie znad ziemi wystrzelająca trawka, a od tej trawki całkowicie zależny człowiek, ogromny chłop z brodą, z silnymi rękami i szybkimi nogami. Trawka może wyrosnąć, ale może także zginąć. Ziemia może być matką, ale i złą macochą... I oto człowiek w całkowitej władzy tej cieniutkiej trawki". (Gleb Uspienski — „Władza ziemi").

Trawka przestała wreszcie panować nad człowiekiem. Złamała ją raz na zawsze kolektywizacja. Chłopi wspólnym wysiłkiem przeciwstawili się zależności od trawki. Rewolucyjni uczeni odkryli ziemię i zaczęli ją przeobrażać. Mogą do pomocy zaprzągać samoloty i najbardziej wymyślne maszyny rolnicze, ponieważ nie zagrodzi im drogi żadna nędza. Mogą komponować najbardziej korzystne płodozmiany, ponieważ nie naruszy ich złośliwie żaden nieufny właściciel kilkunastu dziesięcin.

Chłopi i uczeni zdobędą przyszłość, w której staną się im posłuszne wszystkie gatunki gleb, tak podziwiane za szkłem muzealnych gablotek przez Kazimierza Michalskiego.

Maria Jarochowska

Rozdział XVIII książki pt. „Chleb i sól" (Z chłopami polskimi u kołchoźników radzieckich)

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

TAMA

Tam, gdzie rzeka drzemała tylko cicha pośród pól,
chłopskie pola zalewała jesienią i wiosną,
(lebiodą oszukiwać trzeba było głodu ból)
gdzie na błotnistych nizinach, smutne wierzby rosną:

Równym rzędem stanęły konstrukcje żelbetonu,
skuto kapryśne niegdyś wody wałami dwoma,
posłusznie płynie rzeka — nie śniło się nikomu
by wolne brzegi, złączyła rusztowań korona.

Tu stanie zbiornik, woda zeń spłynie krętą wstęgą
równiny użyźniać i słońca chwytać odbicie,
ludzką pracą ujarzmiona — bądź ludzką potęgą!

Tamę chłopi zbudowali. Widzisz ich na szczycie
rusztowania, ostatnie już piętro zbroić będą.
Inna spłynie rzeka, inne potoczy się życie.

ORKA

Feliks Pasiak pochylił się głęboko nad pługiem.
Przekładnicę ciężko przycisnęła silna ręka.
Lemiesze wryte w ziemię pozostawiają smugę
czarno-pachnącą, rozdartą jak rodzenia męka.

Traktor z wysiłkiem wspina się na pochyłe rżysko.
Jagna pierwsza traktorzystka uważnie prowadzi.
Pasiak głębokość skib bada, pochylił się nisko
i nabrał garść ziemi czarnej. Twardość grudki sprawdził.

Obrodzi w rok nowy — mówi. Skiby równe jak ścieg
dymią wilgocią. Pługi chrzęszczą pieśnią radosną.
Trudna lecz dobra jest jesień nasza. Łan we mgle legł.

W równych odstępach zastawy słoneczników rosną.
Nie zmarznie ozimina pokryta zimą przez śnieg
zatrzymany w badylach. Zazieleni się wiosną.

TAK LEPIEJ

Zachodzi słońce za las. Usiadł Józek na darni.
Spogląda na pieniącą się wodę przy zaporze.
Jaka cisza — mówił, ramieniem Jagnę przygarnął
i myśli o podobnym, ciepłym kiedyś wieczorze.

Wtedy spółdzielnia powstała. Dumał — wydołają
tej pracy wielkiej? — Bo wieś jeszcze w ruinach była.
Teraz lżej. Zagrody schludne. Pługi łany kroją
ciągnięte traktorami. Przyszłość się już wyśniła.

Słucha. Jesienny wiatr w drzewach ostrożnie szeleści,
Z kędyś zapachy pól już rozoranych przywiewa.
Księżyc w topolę wpięty w jej koronie się zmieścił.

Wieś. Okiennice mrużą światło. Lampa naftowa
zastąpiona żarówką. Odbity blask sączy z liści.
Patrz Jagna: — Tak lepiej. A nie każdy się spodziewał.

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

Rys. S. Gierowski

SPOTKANIA PUBLICYSTY

W 1950 r. przybył do kopalni w Katowicach 17-letni chłopak z Kielecczyzny, syn małorolnego chłopa na trzech hektarach, Józef Siennicki wygnany na Śląsk jako zbędna gęba w domu, gdzie zostało troje młodszego rodzeństwa. Chłopak ukończył zaledwie 6 oddziałów szkoły podstawowej, miał w zanadrzu kilka przeczytanych pośredniejszego gatunku powieścideł i raz w życiu czytał (we fragmentach) „Pana Tadeusza".

Od ósmego roku życia „pomagał" w gospodarce bogatemu wujowi, raz uciekł z domu do oddalonego o 20 km. ośrodka maszynowego, aby... zobaczyć traktor. To wszystko, co w maksymalnym skrócie można by o nim powiedzieć. Zwykły życiorys? Tak, zwykły, lecz w tej zwykłości jest typowość. Dodajmy jeszcze, że przeczytane (już po wojnie w szkole) fragmenty mickiewiczowskiej epopei wystarczyły, aby chłopak zaczął pisać wierszem i dodajmy, że jednorazowa wycieczka do SOM-u wystarczyła, aby chłopak poczuł „ciąg" do maszyn — a w zwykłości życiorysu dostrzeżemy bogactwo chłopięcych przeżyć, które z zagrody zamożnego wuja zaprowadziły Siennickiego prosto do — kopalni.

Zaprowadziły — po co?

W miesiąc po przybyciu na Śląsk Józef Siennicki zaczął intensywnie domagać się przeniesienia z pracy na powierzchni pod ziemię, gdzie pracowała jedna z nielicznych jeszcze wręboładowarek. Potem już w ZMP-owskiej brygadzie, obsługując wręboładowarkę, nie przestawał myśleć o SOM-owskim traktorze, który go popchnął do maszyn. Po nieudanej próbie wydrukowania wierszy w miejscowej gazecie rzucił pisanie, nie przestając czytać. Pośledniego gatunku powieścidła zastąpił Szołochow i Polewoj. Do tego jeszcze Broniewski i Majakowski. Przy wręboładowarce, mając głowę nabitą lekturą, poczuł po raz pierwszy „nowe", którego stał się współtwórcą. Chłopięcą nieuzasadnioną ciekawość, która gnała go 20 km. do SOM-u, zastąpił świadomy patos rewolucji. Tej, która odbiła się także na jego życiu. ZMP-owska brygada biła rekordy współzawodnictwa. Józef Siennicki zgłosił wynalazek racjonalizatorski. Mówił: „tamten traktor pracował z jednym człowiekiem za kilkudziesięciu. Na ścianie mimo wręboładowarki pracuje nas sześciu. To za dużo o trzech. Stąd ten pomysł — ulepszyć maszynę". I ulepszył. Na ścianie po tym ulepszeniu zostało trzech. Inni poszli na nowe odcinki.

Sypnęły się premie i odznaczenia. I wzmianki w gazecie. I jego słowa: „Długo sam nie wierzyłem, że maszyną można zrobić tak wiele — kiedy odpowiednio jej człowiek pomoże".



„Długo sam nie wierzyłem..." Skąd miał wierzyć? Koniopas i parobek u bogatego wuja nie miał do tego najmniejszych podstaw, aby wierzyć, że „maszyną można zrobić tak wiele". Można zbudować socjalizm — jeszcze szybciej, „gdy jej człowiek pomoże"... Pomógł. Droga od 3 ha ojcowizny do świadomego budownictwa socjalizmu nie zawsze zresztą musi prowadzić przez szyby górnicze. Musi jednak prowadzić przez zmienioną warunkami świadomość, którą dopiero przy wyzwolonej pracy rozpalić może maszyna...

* * *

Wiele się u nas pisało o Wojciechu Czapczyku. Ten czterdziestokilkoletni maszynista po kilkunastu latach pracy w swym zawodzie dokonał przewrotu w polskim kolejnictwie, przejeżdżając bez remontu parowozu ponad 100 tys. kilometrów. Rekord Czapczyka został zresztą później pobity — nie to jednak jest ważne i nie tak ważny jest sam fakt Czapczykowego sukcesu. Ważne są drogi, którymi wytrawny jeszcze przed wojną maszynista, doszedł dziś do owych 100 tys. kilometrów, podczas gdy przeciętnie osiągano u nas tylko... 2 — 3 tys. Drogi te bowiem wyznaczają bieg rewolucji już nie tylko w bazie, lecz — co za tym idzie — w nadbudowie — w stosunkach wewnętrznych, poglądach, przeżyciach emocjonalnych ludzi, którym rewolucja zmieniła i zmienia podstawy bytu.

Środowisko, które wydało Czapczyka, to proletariat. Mimo to do pierwszych haseł współzawodnictwa nie od razu potrafił się nagiąć. On także nie wierzył, że „maszyną można zrobić tak wiele". Pamiętamy, że pierwszy okres indywidualnego współzawodnictwa pracy przypada jeszcze na koniec roku 1947 i pierwszą połowę 48, na okres istnienia w kierownictwie Partii grupy prawicowo-nacjonalistycznej na okres przytępienia ostrza zaczętej w 1944 roku rewolucji, na okres, który w konsekwencji musiał prowadzić do staczania się na pozycje kapitalistyczne. Trzeba było wtedy wysokiej dojrzałości ideologicznej, aby zrozumieć sens i cel nowego ruchu, trzeba było przezwyciężyć nagromadzoną przez lata rutyniarstwa zawodowego konserwatywną niechęć do wszystkiego co nowe, trzeba było odczuwać jakościową różnicę między przedwojennym a ówczesnym charakterem pracy, trzeba było wreszcie umieć odpowiedzieć sobie na pytanie: „Dla kogo się pracuje?"

Tych warunków czterdziestokilkoletni maszynista wówczas nie rozumiał. Ogólna sytuacja sprzyjała temu, że zrozumieć je nie było łatwo. Odpowiedzieć na pytanie „dla kogo?" w czasie, gdy zaostrzała się walka klasowa, gdy elementy kapitalistyczne próbowały podnieść głowę w mieście i na wsi — nie udało się Czapczykowi. Odpowiedź dało dopiero Sierpniowe Plenum KC PPR w 1948 r. Oczyszczona z oportunizmu partia przez następny okres pomagała odpowiedzieć na to pytanie. Rekord Czapczyka przypadł jednak dopiero na początek pierwszego roku sześciolatki, pierwszego roku budowania podstaw socjalizmu. Wtedy to wytrawny maszynista przedwojenny stał się świadomym maszynistą przyśpieszającym bieg socjalizmu.

Na II Światowym Kongresie Pokoju w Warszawie Wojciech Czapczyk rozmawiał z delegatem kolejarzy radzieckich, których doświadczenia zastosował. Na tej samej sali kongresu Wojciech Czapczyk — człowiek, którego jedyną lekturą była przed wojną powierzchownie czytana gazeta — zdobył autograf... Ilji Erenburga. Przypadek? Z pewnością nie. Z dumą nie pokazuje się przypadkowo zdobytego podpisu. Jak to się stało? — Oto jeden z tematów do dociekań dla poszukiwaczy pozytywnego bohatera.

* * *

W jednym z PGR-owskich zespołów na Dolnym Śląsku (nazwy dziś już dokładnie nie pamiętam) pracuje produkcyjna brygada ZMP-owska. Na czele jej stoi 22-letni chłopak Tadeusz Graczyk, pamiętający jeszcze dawne życie w chałupie bezrolnego ojca, przedwojennego komunisty z Rzeszowskiego. To właśnie postawa polityczna ojca miała decydujący wpływ na kształtowanie się syna, jakkolwiek ojciec zmarł w roku 1944 (gdy Tadeusz miał lat 15), wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec.

Po wojnie syn wraz z matką przyjechał na Zachód, ukończył tu szkołę podstawową i potem wbrew matce pragnącej zająć się samodzielną gospodarką (marzenie całego niemal życia!) poszedł na kurs traktorowy, przyjechał do PGR-u i zaczął pracować. Czytanie książek zajmowało mu resztę wolnego czasu. W traktorzyście odezwała się bowiem ta żądza wiedzy i przemian, która w odmiennych warunkach doprowadziła ojca w szeregi partii komunistycznej, w szeregi strajkujących chłopów, a jego — Tadeusza doprowadzić miała do świadomego budownictwa, do sukcesów produkcyjnych.



Na początek drugiego roku sześciolatki przypada fakt, który w znacznym stopniu umacnia postawę chłopaka. Do majątku przyjeżdża młody agronom — ładna dziewczyna z Wrocławia. Przyjeżdża na praktykę. Kiedy po raz pierwszy zetknęła się ze swą pracą, uświadamia sobie pomyłkę w wyborze zawodu. Pomyłkę? Rozkapryszony agronom w spódnicy marzy o jak najszybszym powrocie do miasta, aby już nigdy więcej, „zapadłej wsi" nie oglądać. Tylko, że „zapadła wieś" przestawała już wtedy być zapadła, a PGR-y po oczyszczeniu się z mikołajczykowskich agentów na kierowniczych stanowiskach objęła w posiadanie klasa robotnicza i dawny proletariat wiejski Jest radio, są gazety i książki. I jest Tadeusz Graczyk, który baczną uwagę zwraca na każdy ruch młodego agronoma. Rezultat: agronom zostaje w majątku.



Powiecie, że to wpływ młodzieńczej miłości między brygadzistą a agronomem. Być może. Dodajmy jednak dla pełnego obrazu fakt, że młody agronom jest dziś przewodniczącym miejscowego koła ZMP i przykładnie spełnia swe obowiązki, a wtedy — co powiecie o jej decyzji?...

* * *

W tym samym majątku byli i inni traktorzyści. Ich nazwiska Sobkowiak i Gruda. Ich wiek — lat 17 i 18. Ich pochodzenie — gospodarka indywidualna od 8 do 11 ha. Ci chłopacy nigdy nie wychowywali się w warunkach, w jakich wychowywał się Graczyk i nigdy nie zetknęli się z życiem, tak brutalnie obnażającym klasowe korzenie panującego ustroju, i nigdy nie zetknęli się w rodzinie z ruchem komunistycznym wśród chłopów. Teraz: Sobkowiak i Gruda, członkowie młodzieżowej brygady traktorowej od pierwszej chwili objęcia swych placówek zawalali plany produkcyjne. Powody tego nie trudno rozszyfrować w ich przeszłości.

W międzyczasie jednak dzięki staraniom miejscowego Koła ZMP, popartym przez partię, do majątku sprowadzono bibliotekę Niewielką. Zaledwie kilkaset tomów. Szafę z książkami zainstalowano w świetlicy. Wieczorami spotykano się tam aby posłuchać radia i gawęd Przychodził także Gruda i Sobkowiak i zatopiony w czytaniu Graczyk. Biblioteka składała się w przeważającej większości z książek radzieckich. Graczyk wpadł na pomysł: któregoś wieczora zmusił obu kolegów do wysłuchania kilku stron z książki, którą czytał. Była to „Jak hartowała się stal" Ostrowskiego Nazajutrz książki w bibliotece nie było. Pożyczyli ją Sobkowiak i Gruda. Przez kilka wieczorów w małym pokoiku traktorzystów światło gasło bardzo późno. Tak hartował się człowiek.

W czasie żniw Gruda i Sobkowiak znacznie przekraczają normy produkcyjne. Dlaczego? „Bo my przecież jesteśmy awangardą klasy robotniczej" — mówił Gruda. „Awangardą klasy robotniczej"?... Aby syn średniaka mógł oznaczyć siebie tak dumną rangą trzeba mu było niejedno zrozumieć, przeczytać w godzinach wyrwanych z wypoczynku, przeżyć na własnej skórze etapy rewolucji, która do PGR-u przybyła nie tylko z traktorem, ale także z książką. Postępową, przodującą książką.

* * *

Zwróćcie uwagę: przemiany pokazane na powyższych przykładach, to już nie przemiany demokratyczno-rewolucyjne. Ludzie opisani tutaj to już ludzie budownictwa, ludzie socjalizmu. Ten drugi etap rewolucji (1949 — 1950 — 1951) wypełniają lata ukończenia Planu 3-letniego i realizacji wielkiej sześciolatki, lata formowania się nowego narodu, lata „najgłębszego — jak mówił prezydent Bierut — procesu przekształcania się i przerastania w społeczeństwo socjalistyczne". Fakty przytoczone powyżej są właśnie ilustracją tego procesu.

Zdzisław Polsakiewicz

EGON NAGANOWSKI

ZGINĄŁ POD GRANADĄ

PIĘTNAŚCIE lat temu, w drugiej połowie lipca 1936 r. generał Franco przy pomocy swoich protektorów, Hitlera i Mussoliniego, rozpoczął zdradziecką walkę przeciwko prawowitemu rządowi Republiki Hiszpańskiej, a w sierpniu tegoż roku, jako jedna z pierwszych ofiar faszystowskiego terroru, zginął na szosie pod Granadą Federico Garcia Lorca, największy poeta współczesnej Hiszpanii. Ta straszliwa zbrodnia, dokonana przez członków Guardia Civil, osławionej żandarmerii frankistowskiej, stanowiła symboliczny akt nieludzkiego systemu, dla którego swobodna pieśń prawdziwej sztuki i nieugięte pragnienie wolności hiszpańskiego ludu były i są na równi zniewidzone, bo były i są synonimami.

„Zabili cię, bo byłeś świeżym tchnieniem,
zielenią w pustkowiu naszych skał
błękitem w mrokach dusznej, ciemnej nocy
. . . .
Solą i wodą zeschłej naszej ziemi.
Promieniem słońca było twoje życie
a teraz tylko jest wspomnieniem".

Tak pisał w „Elegii na śmierć poety" przyjaciel zamordowanego, Louis Cernuda. Ale życie i dzieło Lorci nie pozostało „tylko wspomnieniem". W czasie trzyletniej prawie wojny z faszystowską przemocą strofy wielkiego andaluzyjczyka krążyły po republikańskich rowach strzeleckich podawane z ust do ust i jako wspólne, bezimienne dobro prostego ludu hiszpańskiego dodają mu dziś sił do rosnącego oporu przeciw krwawej dyktaturze gen. Franco i jego nowych, zamorskich protektorów. Tam, gdzie między Saragossą a Leridą rozwijają obecnie ożywioną działalność chłopscy partyzanci, w Barcelonie, Bilbao i Walencji, gdzie pod przewodnictwem komunistycznej partii strajkowali w marcu, kwietniu i maju br. robotnicy, a w ostatnich tygodniach rozlega się potężny krzyk protestu przeciw paktowi głodu, nędzy i wojny, zawieranemu przez madrycki reżim z wysłannikami waszyngtońskiego imperializmu — tam wszędzie towarzyszą poczynaniom hiszpańskich patriotów rytmiczne, urzekające romance poety, którego krew „użyźniła rodzimą ziemię" i wschodzi „świętym posiewem buntu" (J. Quevedo, wiersz pt. „Poecie Garcia Lorce").

Gdy 22-letni Federico Garcia Lorca, syn chłopa spod Granady, ogłosił w r. 1921 swoją pierwszą „Księgę Wierszy" („Libro de Poemas", utwory z tego zbioru powstały w latach 1918 — 1920), ton w literaturze hiszpańskiej nadawało jeszcze tzw. „pokolenie z roku 1898". Byli to pisarze, którzy na klęskę w wojnie kubańskiej, na ostateczne rozchwianie się mitu o rzekomej mocarstwowości monarchii Alfonsa XIII, zareagowali buntem przeciw zgniliźnie rozpadającego się feudalno-klerykalnego systemu, lecz rychło, nie mając żadnego kontaktu z narodem, tworząc dla wąskiej elity liberalnej burżuazji, ulegli czarowi różnych modnych za granicą „izmów" lub wręcz przeszli na pozycje reakcyjno-szowinistyczne, stając się — jak np. czołowy symbolista Ruben Dario — duchowymi prekursorami falangi. Podczas gdy w kraju zaostrzały się przeciwieństwa klasowe, w masach narastała nienawiść do świeckich i kościelnych wyzyskiwaczy, a robotnicy Barcelony zrywali się do pierwszego, krwawo stłumionego powstania (1909), większość znanych pisarzy z niegdyś postępowym Azorinem, z wyznawcą „czystej poezji" Juanem Ramónem i Jiménezem i Miguelem de Unamuno na czele, zwracała się ku przeszłości, nie dostrzegając tego, co się wkoło nich działo. Do nielicznych tylko wyjątków należał liryk Antonio Machado, który — według własnych słów — zawsze rozumiał „Hiszpanię gniewu i gniewnych idei", a później, mimo podeszłego wieku, walczył ochotniczo w armii republikańskiej, by po klęsce udać się na emigrację i tam zginąć we francuskim obozie koncentracyjnym. To Machado wskazał swego czasu młodym poetom drogę, wiodącą z elitarnego odosobnienia do odnowy poezji hiszpańskiej — przez swoją miłość do rodzinnego, kastylijskiego krajobrazu, przez głęboką, choć nie zawsze słusznie pojmowaną wiarę w lud i w wartość jego kulturalnych tradycji.

Ale przykład Machada pociągnął tylko część młodych poetów z początków lat dwudziestych. Działał jeszcze urok „poesia pura" Jiméneza, zwodniczym blaskiem świeciła przelatująca po poetyckim niebie kometa dadaizmu, lirycy Jorge Guillen i Pedro Salinas wiedli gromadkę „wtajemniczonych" ku mglistym abstrakcjom tzw. kreacjonizmu, a niemało zwolenników zyskał sobie ultraizm, iberyjska odmiana futuryzmu. Pod pewnym wpływem tego ostatniego prądu pozostawała początkowo również grupa przyszłych poetów postępowych z przyjaciółmi Rafaelem Alberti i Garcią Lorcą na czele, o czym świadczy m. in. wspomniana już „Księga Wierszy". Jednak poeci ci zerwali niebawem z kosmopolitycznym ultraizmem i poszli drogą, wytyczoną z jednej strony przez Machadę, a z drugiej przez aktualną sytuację w Hiszpanii, gdzie od roku 1923 gen. Primo de Rivera sprawował dyktaturę wojskową, mającą uratować monarchię przed zagrażającą demokratyczną rewolucją. Mimo to ruch robotniczy rozwijał się coraz potężniej, a bohaterstwo proletariackich bojowników czekało na swoich piewców. Jednym z nich stał się z biegiem czasu Alberti, który później wraz z najwybitniejszym prozaikiem młodego pokolenia, Ramónem J. Senderem, autorem rewolucyjnej powieści pt. „Siedem czerwonych niedziel", utworzył małą, lecz niezwykle ruchliwą grupę pisarzy komunistycznych.

Lorca natomiast, o wiele silniej niż jego przyjaciel, poddał się urokom tradycyjnej pieśni ludowo-chłopskiej, z niej czerpał natchnienie do większości swych utworów i zgodnie z jej duchem wyrażał swój protest, swój bunt, przeważnie pośrednio, w swoistej, niekiedy na wpół fantastycznej symbolice, Pewnym wyjątkiem, jeżeli chodzi o sposób manifestowania politycznych przekonań, jest w twórczości Lorci, napisany w r. 1924 utwór sceniczny pt. „Mariana Pineda", przedstawiający dzieje historycznej postaci, młodej andaluzyjki, która w r. 1831 została zamordowana przez rojalistów za udział w spisku grupy liberałów. Sztuka ta posiadała wyraźną tendencję polityczną, skierowaną przeciw rządom de Rivery i Alfonsa XIII.

Pierwszymi utworami Lorci, w których pierwiastki ludowe dochodzą już wyraźnie do głosu, są napisane zaraz po wydaniu „Księgi Wierszy", „Pieśni Andaluzyjskich", („Poema del Cante Jondo"), wydane w zbiorze dopiero w r. 1931. Oddają one wiernie gwałtowność i nostalgię, rytm i raptownie urywające się kadencje andaluzyjskiej muzyki, chwilami kreślą techniką miniatur delikatne krajobrazy, ale ich ludowość jest jeszcze przeważnie natury wrażeniowo - impresjonistycznej, raczej powierzchownej. Mniej więcej to samo odnosi się do tomu „Pieśni" („Canziones", rok 1927), w którym ponadto wiele miejsca zajmuje liryca ściśle osobista. Dopiero „Romanse cygańskie" („Romancero gitano", napisane w latach 1924 — 1927, wyd. w r. 1928) stały się prawdziwym zwierciadłem ludu hiszpańskiego. zapewniły Lorce sławę światową i nieprawdopodobną wprost popularność we własnym kraju.

„Romanse cygańskie"*), dzieło najwyższej próby poetyckiej, stanowią oryginalny stop treściowych i formalnych elementów ludowych ballad, ludowych wierzeń, wyobrażeń i wątków z pewnymi chwytami zaczerpniętymi z poetyki surrealistycznej. Wyszły z tego utwory, w których zmysłowość, temperament, duma, tragizm, religijność hiszpańskiego ludu zostały skondensowane w obrazach i metaforach o reprezentacyjnej, niekiedy picassowskiej symbolice. Cyganie Lorci, nie mający nic wspólnego z egzotyką w romantycznym tego słowa znaczeniu, są w istocie typowymi andaluzyjczykami (folklor hiszpański wykazuje zresztą wpływy cygańskie). Kochają, walczą o kobiety i honor na tle udramatyzowanych i ożywionych, jaskrawo skontrastowanych pejzaży, malowanych przez poetę śmiałymi, lecz zawsze plastycznymi przenośniami. Ale — i tu dochodzimy do rzeczy najważniejszej — fascynujące rytmem i barwnością romanse Lorci są czymś więcej niż tylko poetyckim zwierciadłem Hiszpanii. Ważniejsza bowiem jest ich mniej lub więcej wyraźna rewolucyjna wymowa. Rozumieli ją dobrze falangiści, którzy podczas wojny domowej z bezsilną wściekłością palili egzemplarze „Romancy", nie mogąc unicestwić ich powszechnie znanej treści, tętniącej w ludzkich sercach.

Jakiś płomienny, lecz źle zorientowany w twórczości poety republikanin wyraził się kiedyś, pod koniec lat dwudziestych, do malarki Charlotty E. Pauly, że ten Lorca nie jest jednym z naszych. To prawdziwy „catolico". Pełno u niego katolickich porównań, aniołów i męczennic". Otóż pogląd taki był z gruntu fałszywy. Nie trudno bowiem dostrzec, że Lorca konsekwentnie „uziemnia" swoich mauretańsko - cygańskich świętych, odmawia im metafizycznego pochodzenia, świętego Michała przedstawia jako „efeba trzech tysięcy nocy, pachnącego kolońską wodą", „pokazującego piękne uda" i nie cofa się przed porównaniem „ran Panajezusowych" z „pięcioma nacukrzonymi pomarańczami". Wyjaskrawiając w tych groteskowo - drastycznych obrazach charakterystyczny dla ludu hiszpańskiego zmysłowy stosunek do obiektów religijnego kultu, stosunek oscylujący między zabobonną dewocją a buntowniczym bluźnierstwem, poeta podważa zarazem autorytet instytucji, która od wieków istną armią rzekomo cudownych świątków trzymała w uległości prosty, haniebnie wyzyskiwany i ogłupiany lud. W romancach o św. Michale, Gabrielu i Rafaelu, o „Męczeństwie św. Eulalii", o „Mniszce cygańskiej" Lorca pośrednio zaatakował najbardziej ciemną i zachłanną na dobra doczesne siłę Hiszpanii, główną ostoję zacofania i korupcji, podporę reżimu frankistowskiego — hiszpański kościół katolicki.

Drugą taką ostoją jest policja, Guardia Civil, tradycyjne narzędzie wszystkich reakcyjnych rządów nowożytnej Hiszpanii. Przeciw tej armii siepaczy, zbrojnemu ramieniu armii świątków, poeta wystąpił ze słynną „Romancą o hiszpańskiej żandarmerii". Żandarmi, „jeźdźcy garbaci i nocni" o „ołowianych czaszkach" napadają na „miasto cygańskie", którego mieszkańcy bronią się bohatersko, bronią wolności i honoru. Za wspaniały obraz tej walki, za zdemaskowanie żandarmskiego okrucieństwa, Lorca zapłacił później życiem, bo morderstwo na poecie — choć postanowione już dawno nie tylko w dowództwie frankistowskim, ale nawet w hiszpańskiej ekspozyturze gestapo — było niewątpliwie bezpośrednio aktem zemsty Guardia Civil. Zresztą poeta również w innych utworach opiewał umiłowanie wolności i dawał wyraz swej nienawiści do żandarmów (romance o aresztowaniu i śmierci Antonita el Camborio). Ale nawet te wiersze z „Romancero gitano", które—podobnie jak większość poezji ze zbiorów następnych („Primeros Canziones", „Seis Poemas Gallegos" — 1936) — oddawały tylko cierpki urok hiszpańskiego krajobrazu, jaskrawy koloryt gwałtownego pożądania erotycznego, tragiczny fatalizm, nostalgię i pierwotność hiszpańskiego ludu, spełniały jednak i spełniają społeczno - wyzwoleńczą rolę. „Lorca— wspomina Arturo Barea, minister spraw zagranicznych republiki hiszpańskiej w latach 1936—1937 — zaspakajał potrosze ów głód piękniejszego, bardziej świadomego życia, który ludziom w okopach i fabrykach Madrytu uprzytamniał, że walka z ciemnotą jest zarazem walką z wrogiem wszystkich ich nadziei".

Gdy po upadku de Rivery, zwycięstwie wyborczym partii lewicowych i abdykacji króla w r. 1931, ministrem oświaty republiki mianowano socjalistę don Fernanda de los Rios, dawnego profesora poety na uniwersytecie w Granadzie, Lorca otrzymał misję zorganizowania akademickiego zespołu aktorskiego, któryby objeżdżał wieś hiszpańską z klasycznym repertuarem narodowym. Grając w zapadłych, nędznych wsiach, przed głodnymi analfabetami, Lope de Ruedę, Lope de Vegę, Ruiza de Alarcóna, Calderona i innych, poeta zwrócił się sam ku twórczości dramatycznej. W latach 1930—1936 napisał 9 sztuk ze znaną u nas „Czarującą szewcową" na czele. Sztuki te, „dramatyczne romance" (Alberti), czerpiące natchnienie z hiszpańskiej dramaturgii Złotego Wieku, dzieją się w środowisku chłopskim, mówią o chłopskim poczuciu honoru, który Lorca przeciwstawia złowrogiej, w skutkach, nie mającej żadnego faktycznego pokrycia dumie szlacheckiej.

W gorących czasach republiki, gdy w latach 1934 — 1935 reakcja podnosiła znów głowę i dopiero podczas wyborów z r. 1936 poniosła druzgocącą klęskę, Lorca angażował się coraz czynniej po stronie frontu lewicy, współdziałał z Albertim i innymi postępowymi pisarzami przy wydawaniu odezw, organizowaniu antyfaszystowskich stowarzyszeń itd. Wygłosił też m. in. przemówienie, w którym wskazał na rewolucyjne i rewolucjonizujące znaczenie teatru. Teatr — twierdził — posiada dosyć mocy, by „w ciągu kilku lat zmienić do gruntu psychiczne nastawienie narodu". Oczywiście musi to być teatr świadomy swych zadań, działający jak „uderzenie bicza w walce społecznej". Z tych własnych słów, wypowiedzianych w r. 1936 Lorca-dramaturg nie zdążył już wyciągnąć twórczych konsekwencji. Wiemy jednak, że gdyby dziś jeszcze żył, kroczyłby razem z nami w jednym szeregu, ręka w rękę z drugim wielkim poetą i mistrzem hiszpańskiego języka, Pablo Nerudą, który tak pisze o swym zmarłym przyjacielu: „Był prawdziwą błyskawicą, uosobieniem szaleńczej energii, radości, blasku... Od czasów Lope de Vegi nie było hiszpańskiego poety, który by tak jak on czarował. Wszystko, czegokolwiek się dotknął, nabierało jakiejś esencjonalnej mocy i docierało do najszerszych mas, nie tracąc nic ze swego tajemniczego piękna".

Egon Naganowski.

*) „Romanse cygańskie" ukazały się po polsku nakładem „Książki i Wiedzy", 1949. w przekładzie Jerzego Ficowskiego Część z nich weszła również do „Wyboru wierszy" Lorci, który w przekładzie Włodzimierza Słobodnika wydał w r. 1950 „Czytelnik".

HANNA KIRCHNER

SPOTKANIA PISARZA

Kiedy malarz pracuje nad wielofiguralną kompozycją, rzuca często na boku szkic pojedynczej głowy czy sylwetki, która wtopiona w całość obrazu stanie się jednym z jego elementów, a w szkicu uderza swoim odrębnym charakterem. Opowiadanie w stosunku do powieści przypomina często taki szkic. Żyją w nim własnym życiem ludzie i problemy, które w powieści, przeniesione na wielkie płótno podporządkowane zostaną całości.

Nowa książka Bogdana Hamery *), tak różna od jego poprzedniej powieści, stanowi ciekawy zwrot do tematyki bardziej „kameralnej" jeżeli można tak powiedzieć. Pisarz poszukuje w przeszłości okupacyjnej pierwszych oznak narodzin nowego człowieka, śledzi odbicie konfliktów klasowych w walce z destruktywną siłą faszyzmu. Każde z jego opowiadań stawia jakieś dręczące pytanie. Nieraz czytelnik sam musi znajdować na nie odpowiedź, na ogół jednak autor stara się rozwiązywać zaciśnięte w opowiadaniach węzły i historycznych zdarzeń i ludzkich przeżyć. Rozwiązania te są na ogół jednak schematyczne. Szkic charakterystycznej głowy, dobrze zaobserwowanej i poprawnie narysowanej rzadko staje się u Hamery pełnym prawdy i życia, wyrazistym studium portretowym.

Przy czytaniu jego książki wciąż nasuwa się pytanie — czy jest ona utworem wcześniejszym od „Plewy" czy późniejszym? Czy jest to seria wstępnych szkiców, czy samodzielne studium? Trzeba bowiem stwierdzić, że powieść Hamery jest utworem znacznie doskonalszym pod względem artystycznym, prezentuje zarazem bardziej zdecydowane ideologicznie rozwiązania, większą umiejętność historycznego i artystycznego dokumentowania przeżyć i czynów bohaterów. **„Doznania ludzkie"** wzbogacają zasób możliwości artystycznych Hamery, ale posiadają braki, których nie ma w powieści. Większość opowiadań przypomina suche i pozbawione indywidualności wypracowania szkolne na zadany temat, gdzie uczeń obraca się stale w obrębie niewielu wyuczonych zwrotów. Wrażenie takie wypływa z faktu, że na opowiadaniach zaciążył przerost komentarza autorskiego, który u Hamery jest prymitywny i przypomina często naiwną publicystykę. Opowiadania cierpią na brak obrazu artystycznego, są niemal wszystkie przegadane, konflikt jest przeważnie powiedziany, a nie wypływa z akcji, z dialogu. Weźmy pierwsze opowiadanie. Rozmowa z b. nauczycielem, spotkanym przypadkowo w pociągu ma rozwiązywać cały problem. Przy tym Olek jest zupełnie pozbawiony charakteru. Słowa przygodnego znajomego zapadają w niego tak łatwo, jakby nie miał za sobą członkowstwa „Ligi Morskiej i Kolonialnej", „Sokoła", „Legionu Młodych" i błyskotliwej kariery w drobnomieszczańskich „wyższych sferach". Załatwienie całego życia Olka, jego wychowania, światopoglądu, planów na przyszłość, jedną, choćby tak pouczającą rozmową i trzygodzinnym spacerem po wsi jest zbyt łatwe. Słusznie zwraca uwagę Andrzej Kijowski w swej recenzji („Opowiadania Bogdana Hamery" Życie Literackie nr 12), iż należałoby przedstawić przedwojenną prace bohatera przy akcji polonizacyjnej na wsi ukraińskiej i w jej trakcie dać mu możność zapoznania się z faktami ucisku.

„Zagadnienie chleba" to jedno z lepszych opowiadań zbioru. Kobieta polska oddaje z narażeniem życia cały zapas chleba przeznaczonego dla głodującej od dawna rodziny pędzonym przez Niemców jeńcom radzieckim. Hamera b. trafnie ujawnia tutaj głębszy sens tego gestu: rozwój świadomości ideologicznej tej kobiety, wzmocnienie poczucia wspólnoty ludzi walczących z faszyzmem.

Podobny problem porusza opowiadanie pt. „Spojrzenia za siebie". Polacy ratują radzieckiego żołnierza, który zapędziwszy się zbyt daleko na niemieckie pozycje spłonąłby wraz ze swym czołgiem. Jeden z Polaków, który bierze udział w tej akcji dość przypadkowo, przezwycięża własne tchórzostwo i egoizm oraz odnajduje poczucie głębokiej więzi z ludźmi, którzy opierają się faszyzmowi.

Opowiadanie „Na styku" wzbudza pretensje do autora za spłycenie tematu i niewykorzystanie problemu, który Hamera zaznaczył mimochodem. Opowiadanie mogłoby stać się pięknym przykładem braterstwa wojsk polskich i radzieckich, o którym rozmyśla radziecki oficer Inostrancew. Tymczasem jego myśli („...wtedy słowo — sojusznicy — w jego mowie i myślach nabrało innych, ciepłych i po żołniersku mocnych barw...") nie mają żadnego związku z akcją, naiwnie — sensacyjną i błahą.

Szukając w czasach okupacji pierwszych oznak budzenia się nowej, socjalistycznej świadomości w człowieku, porusza Hamera zagadnienie bardzo ważne — czy w narodzie niemieckim znajdowały się siły, które w czasie wojny reprezentowały już przyszłe, nowe, demokratyczne Niemcy. Przedstawicielem tych sił w opowiadaniu „Ponadludzkie brzemię" jest żołnierz niemiecki, Wiana, który usiłuje przekonać pewną rodzinę polską, że „...jest Niemcem z krwi i kości, kocha swój kraj, ale nie widzi w sobie nic nadczłowieczego. Czuje się szczęśliwy, że nic mu nie potrafiło odebrać zwykłych, ludzkich cech, że nie stał się „nadczłowiekiem"... A takich jak on jest niewątpliwie dużo. Gdy faszystowski reżim zostanie zniesiony, wielu Niemców, odkryje swoje prawdziwe oblicze. I naród zdobędzie się na ten ogrom wysiłku, by zrzucić nadludzkie brzemię, jakie ręce potworów zwaliły na jego barki. Autor sugeruje, że nieporadne, osobiste starania Wiany przerodzą się kiedyś w przyjaźń całych narodów, młodych Polaków i młodych Niemców, którzy uścisną sobie ręce, zamiast strzelać do siebie.

„Czysta chirurgia" to ciekawy opis konfliktu między obowiązkiem lekarza, który winien ratować chorego za wszelką cenę, a sumieniem człowieka, który wie, że uratowanego rannego czekają tortury w Gestapo. Ranny komunista daje lekarzowi „lekcję socjalistycznej sztuki umierania" jak nazwał to Andrzej Kijowski, słusznie wskazując na niedostatecznie jasne umotywowanie tego czynu. Najlepszym opowiadaniem tego zbioru jest niewątpliwie ostatnie: „Drogi różnie się krzyżują". Jest ono wolne w dużej mierze od charakterystycznych dla całej książki błędów, o których powiem niżej. Dialog, a właściwie monolog kolejarza jest tu jak najbardziej plastyczny, żywy, przekonywający. Podobnie dobrze umotywowany jest konflikt i jego rozwiązanie. Maszynista, prowadzący niemiecki pociąg, staje po tej samej stronie barykady co dywersanci wysadzający pociąg w powietrze, mimo że wybuch miny podłożonej pod pociąg urywa mu rękę. Wydarzenie to sprawia, że maszynista zrozumiał, iż w tej wojnie nie ma kompromisów. Na pytanie, czy przeklina partyzantów za utratę ręki, odpowiada: „Nie, panie... ja ich błogosławię... przez pół roku ile ja jeszcze wagonów byłbym im przewiózł, tym zbrodniarzom... Kiedy ja teraz patrzę na to, co się u nas dzieje, jak ten kraj rozkwita... to... mnie się zdaje że i ja też się do tego przyczyniłem... Gdybym ja nie prowadził tego pociągu tamtędy, to by go partyzanci nie wysadzili... że to niby ja wspólnik". W tym opowiadaniu spotykają się ludzie o jasno określonej pozycji ideologicznej. Przywiodły ich do tego spotkania drogi, które prowadziły do Polski Ludowej. Wynika to jasno i artystycznie przekonywająco z konstrukcji opowiadania. Natomiast wszystkie pozostałe utwory zbiorku cierpią na „ideologiczne niedookreślenie". Sprecyzowałabym to w ten sposób, że w opowiadaniach Hamery zbyt wielu jest ludzi abstrakcyjnie „porządnych", a wiemy przecież że moralność jest tworem klasowym. Przykładem nie dość zdecydowanego obrazu ideologicznego bohatera jest postać Wiany. Dzisiejsze Niemcy demokratyczne nie zrodziły się bynajmniej z humanizmu drobno-mieszczańskiej inteligencji, a z niezduszonej „brunatną pajęczyną" siły klasy robotniczej. Podobnie mgliste są postacie Inostrancewa („Na styku"), kobiety oddającej chleb („Zagadnienie chleba"), Murczaka, Przecińskiego, Kwapisza („Spojrzenie na siebie"), czy wreszcie Olka z „Syzyfiady". Wymienione opowiadania zawierają ponadto szereg naiwnie-publicystycznych zwrotów, rażących w tamtych warunkach i w ustach takich ludzi (np. „Naród polski i inne narody będą wolne, zginie faszyzm i przemoc kapitału" — „Ponadludzkie brzemię").

W niektórych opowiadaniach („Syzyfiada", „Zagadnienie chleba", „Czysta chirurgia") rażą zbędne rozwlekłości nieusprawiedliwione kompozycyjnie. Jaka jest np. celowość artystyczna długiego opisu spotkania Olka z obcym człowiekiem w miasteczku i rozmowy z panią Kostkowską, albo też wstęp o bakcylach w opowiadaniu „Zagadnienie chleba.., czy wreszcie dokładny opis operacji („Czysta chirurgia")? Są także usterki stylistyczne, które łatwo byłoby usunąć przed oddaniem książki do druku.

Opowiadania Hamery są niedopracowane. Dlatego też często autor nie umie należycie wykorzystać dużej niewątpliwie spostrzegawczości pisarskiej i nadać swoim, czasem zbyt uproszczonym szkicom, barwy i wyrazu.

Hanna Kirchner

*) Bogdan Hamera, „Doznania ludzkie", „Książka i Wiedza", 1951.

ZOFIA SZPROKOFF

OPOWIADANIA GRECKIE

„Odeon"*) jest drugim — po „Statku w mieście" — utworem Kedrosa, mówiącym polskiemu czytelnikowi o walce i zwycięstwie ludu Grecji. Kedros umie pokazać bezwzględność tej walki, jej patos, umie — jak w poprzednim swoim utworze — ukazać całe społeczeństwo greckie, odkryć linię podziału, biegnącą wewnątrz niego, zdemaskować zdrajców ojczyzny, a jednocześnie nie spuścić z oka „zwykłego, małego człowieka", ukazując przenikliwie jego indywidualny los.

Książka obejmuje szereg opowiadań, które wyraźnie dzielą się na dwie części. Pierwsza obejmuje tylko jedno opowiadanie — tytułowe, mówi o czasach wojny. Druga część, „Opowieści pogrudniowe", opowiada o dalszej walce, która nie może zakończyć się, póki lud nie zdławi tych, którzy w ojczyźnie wskrzeszonej jego krwią chcą nadal być panami. Tylko ta droga wiedzie do prawdziwej wolności. Zrozumiała to szybko 15-letnia bahaterka „Odeonu", która mówi w swoim pamiętniku o rozpaczy i wstydzie za to, że inni walczą, ona stoi biernie z boku i umie zdobyć się tylko na łzy: „Muszę myśleć o tym, że dwa kroki ode mnie popełniono nowe morderstwo, a ja zdobyłam się jedynie na ucieczkę. Tak dalej być nie może. Nie może... Muszę coś zrobić, muszę się przeciwstawić, inaczej oszaleję... Jutro pomówię z Manolim".

Droga indywidualnego protestu nie zawiedzie daleko. Smaro nienadzi równie silnie Niemców — za zimę głodu, w czasie której ludzie marli na ulicach, za codzienne okrucieństwa — jak i tych, którzy w tę straszną zimę siedzą w ciepłych domach i jedzą „prawdziwe, przedwojenne ciastka" — jak to określa dziecinnie jeszcze, 15-letnia bohaterka — i dla których wojna była „wspaniałą awanturą", okazją do emocjonujących przeżyć i powiększenia majątku. Początkowo jednak nie wie, czemu łączy ich w swej nienawiści. Świadomość tę zyska dopiero w szeregach E. A. M. Autor umie ukazać rozwój tej świadomości w psychice swej bohaterki — od biernej nienawiści połączonej ze strachem do zdecydowanego podjęcia walki. A jednocześnie w miarę dojrzewania ideologicznego Smaro wybierze swoją drogę w życiu osobistym, co jest właśnie wynikiem owej dojrzałości. Zrywając z Fryderykiem, Smaro jest już człowiekiem świadomym celów walki, który wie, że nie można być jednocześnie „przeciw Niecom, przeciw hitlerowcom" i „przeciw rewolucji i bolszewikom". Zerwanie pierwszej, egzaltowanej trochę miłości, nie jest łatwe i Smaro cierpi, ale wie, że w walce nie ma kompromisu, że w konsekwencji prowadzi on do zdrady. Tak w decyzji jednej młodej dziewczyny umiał ukazać autor decyzję całego ludu greckiego.

Manowce oportunizmu i zdrady pokaże autor w historii Haralambosa. Historia ta jest ciekawa nie tylko dlatego, że ukazuje fiasko walki podjętej, nawet w najlepszej wierze, ale w oderwaniu od walki prowadzonej przez cały naród, lecz i dlatego, że demaskuje mieszczucha, przemysłowca i kupca oraz rolę Inteligence Service. O roli, jaką odgrywa wywiad angielski mówi i to, że pisze się na niego burżuazja grecka. Ona wie dobrze, że tego rodzaju polityka, jaką reprezentuje I. S., powróci jej „ukochaną starą ojczyznę". Matsakis doskonale rozumie, że gra polega na wyciąganiu kasztanów z ognia cudzymi rękami. Zachwyca go „poczucie tego, że się jest sprężyną, poruszającą tę wojnę inteligencji, wojnę, w której brali udział jedynie wtajemniczeni i garstka wybranych, podczas gdy ogromne masy ludzi wyrzynały się głupio na prozaicznych polach bitew...". Sprawa jest zupełnie jasna. Ludzie rodzaju Matsakisa są przekonani, iż „masy ludzi" są tak głupie, że walczą o „starą ojczyznę" dla niego — on zaś tymczasem zamanifestuje swój „patriotyzm", obdzierając Niemców w transakcjach handlowych.

Linia podziału jest wyraźna; jedna droga prowadzi do zdrady i „starej ojczyzny". Autor po tej stronie umieszcza przemysłowca z „Odeonu", kupca z „Homara Hitlera" — który zawsze i wszędzie chce znaleźć wygodne miejsce — zabłąkanego inteligenta Manoli, zdemoralizowanego i ogłupionego tym, co mu wbijano w głowę w armii amerykańskiej górala greckiego, emigranta (opowiadanie „Janczar"). Reszta jest po drugiej stronie. W dziejach Smaro ukazał autor, jak ciężko częstokroć znaleźć drogę właściwą. I ukaże tę drugą stronę — a więc właściwie cały naród grecki — w walce. W walce przeciwko hitleryzmowi. „Naszym wrogiem jest nie tylko zaborca — Niemiec, ale każdy faszysta, wróg ludu..." — oto hasło pod którym walczy naród grecki.

W „Odeonie" przedstawiony jest i strajk generalny, w którym biorą udział robotnicy i urzędnicy wszelkich przedsiębiorstw Anten; strajk będący protestem przeciw okrucieństwom hitlerowców, przeciw głodowym racjom będący pierwszym dowodem siły ludu; ukazana jest też krwawa walka na przedmieściach Aten. Ale nie sądźmy, że widzimy w tych wielkich akcjach bezimienny tłum. Zasługą autora jest pokazanie w tym tłumie żywych ludzi, różnych, zindywidualizowanych — czy to będzie skryty, pedantyczny „zwykły urzędnik" — ojciec Smaro, czy wesoły, trochę kpiący z siebie Stratos. W walce jednakowo wytrwale i bohatersko, z całym poświęceniem walczą i giną, nie ulegną i nie załamią się wobec śmierci i cierpień — ani Stratos na barykadzie, ani ojciec Smaro w rękach gestapo — obaj wiedzą, że „Nasza śmierć zrodzi tę radość, a gdy obejmie ona cały świat, wówczas przypomną sobie o nas".

Tę myśl wyraża ostatnia scena „Odeonu", otwierając perspektywy zwycięstwa, scena z pierwszych dni powstania w Atenach: „A wzbierający na nowo potok ludzki rzuca się w szale zwycięstwa na Pałac Królewski, siedzibę ministrów". Walka ludu greckiego ciągnie się dalej, mimo zakończenia wojny. „Pogrudniowe powieści", druga część „Odeonu" z jednej strony rozszerza zagadnienie zawarte w „Odeonie", z drugiej wprowadza nowe elementy.

Jasno postawiona jest sprawa walki z rodzimym faszyzmem. „Pojednanie" opowiada historię spotkania studentów komunistów i faszystów na gruncie „wolnym od wszelkich wpływów politycznych", na gruncie działalności muzycznej — w chórze akademickim. W trakcie opowiadania widzimy jasno, że i działalność muzyczna nie jest wolna od wpływów politycznych, a „patriotyzm" faszystów jest frazesem.

„Opowieści pogrudnione" to szereg krótkich migawek, nie pozbawionych akcentów humorystycznych. Śmiech ich jest prawie zawsze szyderczy, uderza przede wszystkim w angielskich „przyjaciół", ośmiesza ich i wyszydza. Tak jest w historii niefortunnej kąpieli Mr. Jonesa, czy pomyłki majora, który bierze hurtownika wełny za wicehrabiego. Ale mimo pomyłki dogadują się szybko w sprawie rozdziału ubrań z UNRRA nie dla „byle kogo", ale „dla rojalistów". Tak więc mamy tu dalszy ciąg spraw z „Odeonu" — demaskowania kupców, przemysłowców, słowem burżuazji, która teraz zawiera porozumienie z Anglikami jak wcześniej z Niemcami — kosztem swego narodu, byle tylko dobrze zarobić. I w dalszym ciągu walczy z faszyzmem cały naród — robotnica z gazowni (opow. „Ostatni bohater"), kobiety ze wsi (opow. „Niebezpieczna misja"), bytujący na pograniczu nędzy górale (opow. „Janczar") — Kedros ukazuje pierwsze starcia wojny domowej. Znów linia podziału jest jasna. Z rodzimym faszyzmem i angielskim imperializmem walczą robotnicy i chłopi w imię lepszej przyszłości — po tamtej stronie opowie się kapitalista, spekulant; jest jeszcze otumaniony żołnierz („Koniec bohatera", „As treflowy"), ale i on zaczyna powoli widzieć potworność i podłość walki z własnymi braćmi (opow. „Niebezpieczna misja").

Jednak, jak już było powiedziane, autor rozszerza postawione w „Odeonie" zagadnienie. Sprawa, o którą walczą Grecy, nie jest sprawą tylko grecką — to sprawa mas pracujących całego świata.

Oto jak „tłumaczy" sytuację istniejącą w Grecji admirał oficerom angielskim: „W Grecji są dwie rasy. Oto, czego nie wie Zachód. Mówię wam dwie rasy: jedna to bandyci i buntownicy, spośród których teraz czerwoni rekrutują zwolenników, i druga, że się tak wyrażę, rasa czysta, która przyjęła spuściznę po dawnych Grekach, rasa, do której należą wszyscy przyzwoici ludzie — wszyscy ucywilizowani demokraci".

Jednak i on i jego angielscy goście przekonają się wkrótce, że ta dziwna „dwoistość ras" to cecha nie tylko grecka. W porcie, gdzie odbywa się przyjęcie, ładuje się jednocześnie do deportacji „czerwonych". I wtedy marynarze angielscy — protestują, gwizdem wyrażają swe oburzenie i sprzeciw przeciwko postępowaniu „drugiej rasy" greckiej, solidaryzuje się z deportowanymi i protestującymi, poza kordonem policji, tłumem. Angielski delegat wpada w szał, obiecuje ukarać zuchwalców, którzy podrywają „prestiż Albionu w świecie". I wtedy pada pytanie: „Czy nie sądzi pan, iż wśród poddanych Jego Królewskiej Mości króla brytyjskiego są również dwie rasy: czerwoni i demokraci..." Z całą pewnością tak. To ostatnie zdanie z opowiadania „Dwie rasy" to nie tylko kpiny z pewności siebie angielskiego oficera, ale stwierdzenie określonej prawdy. Nie tylko w Grecji, ale i w Anglii i na całym świecie podział scharakteryzowany w opowiadaniu — i wszyscy „czerwoni" protestują zgodnie przeciwko przemocy i krzywdzie.

Kedros w „Odeonie" od indywidualnego buntu jednostki poprzez walkę całego narodu otwiera piękne perspektywy internacjonalnej przyjaźni ludów miłujących wolność.

Zofia Szprokoff

*) Andreas Kedros, Odeon, Czytelnik, 1950

Z zagadnień literatury radzieckiej

ŻYWY MAKARENKO

Od dłuższego czasu na łamach pism radzieckich toczy się ożywiona dyskusja na temat dzisiejszego rozumienia i stosowania w praktyce spuścizny Makarenki.

Kiedy autor „Poematu pedagogicznego" rozpoczynał prace wychowawcze w młodzieżowych zespołach na koloniach, pedagogika radziecka stawiała pierwsze kroki. Dzieło Makarenki miało olbrzymie znaczenie i ukształtowało w dużym stopniu człowieka radzieckiego.

Makarenko był doprawdy niedoścignionym inżynierem „ludzkich dusz", a to z dwojakiej przyczyny: pisarstwa i umiejętności wychowawczych. „Poemat pedagogiczny", „Flagi na masztach", „Książka dla rodziców" odegrały ogromną rolę w zakresie wychowania młodzieży w duchu komunizmu.

Upłynęło wiele lat, zaszło wiele przemian. Poziom młodzieży radzieckiej znacznie się podniósł: pedagog pracuje dziś w innych, doskonalszych warunkach i z innymi ludźmi. Takiej młodzieży, jaką opisywał Makarenko, już nie ma. Wtedy — przed laty — czuły, miłujący wychowawca nadawał pierwszy kształt radzieckiego człowieka gromadom „bezprizornych", dzieciom bezdomnym, ofiarom wojny domowej. Obecnie szkoła radziecka ma do czynienia z młodzieżą wyrosłą w warunkach epoki stalinowskiej.

Różnice stosunków, różnice epok wysuwają palące pytanie: czy i o ile żywotna jest spuścizna Makarenki. Co z niej przyjąć, a co odrzucić?

Temu właśnie poświęcona była dyskusja.

Obecnie „Litieraturnaja Gazieta" w nr 95 podsumowuje bardzo żywą wymianę opinii i wyciąga wnioski. Dyskusja poruszyła głęboko czytelników radzieckich — rodziców i młodzież. Redakcja otrzymywała setki listów, w których odbijał się gorący stosunek radzieckiego ogółu do wielkiej postaci Makarenki i jego dziedzictwa. Jest rzeczą charakterystyczną, że wypowiedzi pedagogów radzieckich cechował większy krytycyzm. Natomiast przeciętni czytelnicy, rodzice i młodzież — nie zdobywali się na próbę rewizji.

„Litieraturnaja Gazieta" w artykule pt. „O pedagogicznym dziedzictwie A. S. Makarenki" podnosi trwałe wartości systemu wychowawczego autora „Poematu pedagogicznego" a zarazem wydobywa braki, oczywiste w świetle dzisiejszej radzieckiej rzeczywistości...

Literackie i teoretyczne dziedzictwo Makarenki prezentuje się bogato: powieść, opowiadania, utwór sceniczny, scenariusz, publicystyka. Makarenko stanowił typ wojującego nowatora, który posługiwał się różnorodnymi środkami dla uzyskania jednego wysokiego celu: wychowania młodzieży w duchu komunistycznym. Na tej drodze wielki wychowawca szedł naprzód w myśl wskazań marksizmu - leninizmu, obalał każdą przeszkodę i toczył niejedną walkę z pedagogami, którzy chętnie czapkowali przed rzekomo wyższą nauką Zachodu.

Zasługi Makarenki są olbrzymie. „Poemat pedagogiczny" — to pomnik radzieckiej epoki na progu jej zwycięskiego kształtowania się. „Ale — ostrzega „Litieraturnaja Gazieta" — trzeba zawsze pamiętać, że dzieła Makarenki to nie naukowe traktaty, ale utwory artystyczne. Trzeba pamiętać, że wiele wychowawczych metod, opisanych w artystycznych dziełach Makarenki, dziś nie może wejść w starej formie do radzieckiego wychowawczego systemu, ponieważ dzieci wychowywane obecnie w szkołach i domach dziecka są zupełnie inne, aniżeli te, które wychowywał Makarenko. Te dzieci wymagają innego podejścia, innej „wychowawczej taktyki".

Żeby właściwie i twórczo wykorzystać spuściznę Makarenki, należy unikać ślepego naśladowania jego metod. W pierwszym rzędzie trzeba określić podstawy, na jakich opierał się system wychowawczy Makarenki.

Podstawy są słuszne, marksistowskie — wychowanie jednostki w ramach kolektywu, przez kolektyw i dla kolektywu. Ale Makarenko podzielił ogólny kolektyw szkoły na podstawowe kolektywy klas, uformowane na zasadzie wieku i wspólności naukowych zainteresowań. „Litieraturnaja Gazieta" widzi w tym błąd. Wieloletnia praktyka radzieckiej szkoły, organizacji pionierów, zakładów pracy, sportowych kół, ogólnoszkolnych wieczorów oświatowych daje przewagę innej zasadzie: łączyć zespoły młodzieży i dorosłych mieszając wiek. Nie wolno ograniczać kolektywu, zamykać go w ramach zainteresowań podyktowanych wiekiem ucznia i typem wykształcenia.

Nieprzemijającą wartość ma dążność Makarenki do ugruntowania w wychowankach poczucia kolektywnego. Wychowanie członka kolektywu — to pierwsze powołanie Makarenki. „Największy sens pracy pedagoga — pisze Makarenko — polega na tym, żeby wyselekcjonować i wychować ludzkie dążności, a dalej, żeby te dążności wznieść na takie moralne wyżyny, które są możliwe tylko w społeczeństwie bezklasowym i które będą budziły w człowieku energię do walki o dalsze doskonalenie się".

Słuszne też jest żądanie, aby zespół pedagogów sam tworzył wychowujący kolektyw. „Jest rzeczą bezsporną — mówi autor „Poematu pedagogicznego" — że nie da się wychować kolektywu, jeśli spośród *15 nauczycieli: „każdy będzie uczył jak chce i jak umie".*

Przed kolektywem należy stawiać wielkie, jasne, optymistyczne cele. Wielką „radość jutra" jak mawiał Makarenko. Wychowanie powinno mieć zdrowe, ale też wielkie perspektywy. „Litieraturnaja Gazieta" powołując się na Żdanowa podnosi z uznaniem moralność i przydatność tej zasady.

Również są słuszne i nieprzemijające wskazania Makarenki, dotyczące znaczenia tradycji komunistycznej w wychowaniu, dyscypliny, moralnej kary w obliczu całego kolektywu i dodatniej roli radzieckiej rodziny.

Na czym więc polegają minusy? „Makarenko — mówi „Litieraturnaja Gazieta" — nie ma jasno wyłożonego systemu poglądów wychowawczych, nie posiada całości". W spuściźnie Makarenki nie znajdziemy ani jednej pracy, która ogarniałaby w sposób całkowity zagadnienia komunistycznego wychowania. Nawet wybór pism nie da jednolitego „kursu pedagogicznego". Brak wskazań, dotyczących pracy pionierskich i komsomolskich organizacji w szkole. Nie zostały opracowane zagadnienia fizycznego wychowania. Sprawy nauczania w godzinach lekcji potraktowane są marginesowo, błędnie. Mistrz wychowania, twórca bezpośredniości w stosunkach z młodzieżą, Makarenko oddzielił wychowanie od nauczania na lekcjach. Taki rozdział może stwarzać dwie kategorie specjalności: wychowawców i nauczycieli. A przecież w systemie komunistycznego wychowania panuje jednolitość.

„Litieraturnaja Gazieta" przyznaje słuszność tym pedagogom, którzy uważają, że posługiwanie się tzw. metodą wybuchu w procesach wychowawczych przynosi wątpliwą korzyść jeśli sam moment „wybuchu" nie wiąże się ściśle z codziennym powolnym urabianiem wychowanka. Sprzeciw budzi opinia Makarenki, że chłopiec ukarany nie powinien cierpieć moralnie z tytułu ponoszonej kary. Oponentom wydaje się, że taka kara nie będzie skuteczna. Również zastrzeżenie wywołuje sąd Makarenki, jakoby wychowanie do lat 5-ciu stanowiło fundament późniejszego charakteru. Zarówno specjaliści jak i czytelnicy w listach przeczą tej zasadzie.

„Ale — reasumuje „Litieraturnaja Gazieta" — te pojedyńcze błędy — albo nieścisłe sądy, występujące tu i ówdzie „białe plamy" w systemie pedagogicznych poglądów Makarenki, nie mogą przesłonić tych cennych wartości, które autor „Poematu Pedagogicznego" śmiało i odkrywczo wniósł do radzieckiej nauki".

Stosunek do Makarenki powinien być rzeczowy. „Litieraturnaja Gazieta" ostrzega przed skrajnościami: zarówno brak krytycyzmu, jak i potępianie wszystkiego w czambuł krzywdzą wielkiego artystę - wychowawcę. Makarenko pozostał wśród nas, żywy i żywy powinien być stosunek do jego spuścizny tj. analityczny, nacechowany umiejętnością naśladowania rzeczy najlepszych.

Należy przestrzec przed wulgaryzacją nauki Makarenki, przed chwytaniem z tej nauki co efektowniejszych myśli. Taki stosunek to stosunek martwy, mechaniczny.

Poddana krytycznej rewizji nauka Makarenki powinna dalej spełniać swój żywy, bojowy cel. G. T.

Książki nadesłane

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

Stanisław Piętak — Wczoraj i dziś — str. 30.

A. Maruchian — Triumf leninowsko - stalinowskiej polityki narodowej — str. 18.

F. T. Konstantinow — Georgi Dymitrow — str. 37.

Feliks Dzierżyński nieugięty bojownik o zwycięstwo socjalizmu — str. 106.

W. Czermenski — Militaryzm wzmaga zubożenie proletariatu w krajach kapitalistycznych — str. 25.

W. Woroszylski i **W. Zalewski** — Rok walki i zwycięstw — str. 58.

Andre Stil — „Sekwana" spływa na morze — str. 205.

B. Silova — 30 koni Wicka goni — str. 146.

W. Letenko — Planowanie produkcji w przedsiębiorstwie socjalistycznym — str. 41.

W. Dobrowolski — Aleksander Szaszkow — str. 50.

Teresa Chabowska — Spółdzielnia produkcyjna „Grochów" — str. 63.

Odpowiedzi na pytania czytelników (2) — str. 42.

A. Topczijew — Budowa bazy materialnej i technicznej komunizmu i zadania radzieckiej nauki — str. 38.

J. i C. Borlewscy — U źródeł życia — str. 65.

Wiersze o braterstwie — Antologia — str. 191.

Ludzie technikum włókienniczego w Łodzi — str. 53.

A. Lapin — Socjalistyczna organizacja pracy a ruch stachanowski — str. 18.

A. Kudriajew — Wydział ponierski rejonowego komitetu komsomołu — str. 18.

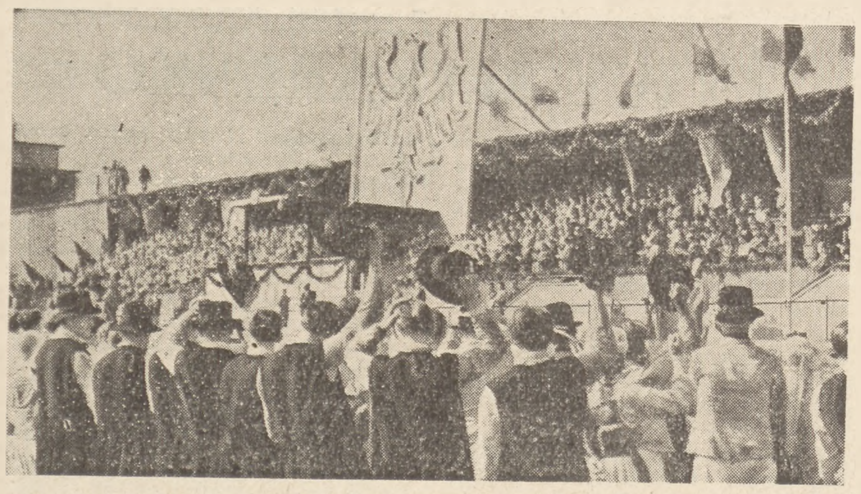
Monika Warneńska — Na „Florianie" hartuje się stal — str. 61.

Wykłady z ekonomii politycznej — str. 387.

S. M. Kirow — O młodzieży — str. 169.

Jan Dembowski — Psychologia małp — str. 276.

Siergiej Bobrow — Dwurogi czar[illegible]dziej — str. 391.



Ku spółdzielczości produkcyjnej

(Dokończenie ze str. 1)

To, co już zrobiło dla indywidualnej gospodarki państwo ludowe i to czym jeszcze wzmoże siły wytwórcze rozproszkowanej gospodarki chłopskiej — już obecnie ukazuje profil nowego rolnictwa, jako rosnący. Już obecnie w masowym ześredniaczeniu wsi polskiej, która ma pomoc i opiekę, widać wzniesioną falę polepszenia bytowego, dobrobytu.

Już obecnie w masywie małorolnych widać olbrzymie wyrównanie w pracy pozarolniczej i w potężnym potoku odchodzącej do szkół młodzieży.

Sprawa zatem wsi indywidualnie gospodarującej i spółdzielni produkcyjnych nie stoi u nas dramatycznie: **aby wydobyć się z krańcowej nędzy i straszliwego zacofania idź do spółdzielni!** Nie tak! Ale właśnie dlatego tym bardziej winna być wzmocniona czujność klasowa i świadomość socjalistycznych przeobrażeń wśród chłopstwa mało i średniorolnego, którym ono wszak zawdzięcza już podniesienie swej stopy życiowej i pewność jutra.

Ale sprawa stoi tak: Chcesz mieć **jeszcze lepiej** — pracuj zespołowo.

Pamiętać bowiem musimy, jak wyjaśniał Stalin — że „drobnochłopskie gospodarstwo towarowe nie jest jeszcze gospodarstwem kapitalistycznym. Ale w postawie swej jest ono tego samego typu, co gospodarstwo kapitalistyczne gdyż opiera się na prywatnej własności środków produkcji“ *).

Działają więc w nim te same, co w całej gospodarce kapitalistycznej, hamulce, opóźniające rozwój sił wytwórczych, niedopuszczające nie tylko do rozszerzonej, ale często nawet i do prostej reprodukcji.

Nienadążanie rolnictwa za rozwojem socjalistycznego przemysłu nie może trwać długo nie rujnując gospodarki narodowej, nie podcinając już osiągniętych sukcesów w przejściowym okresie pomocy ekonomicznej i klasowej państwa ludowego, niesionej wprost milionom drobno i średniorolnych chłopów.

Otóż tę sprzeczność i to zagrożenie wiszące również bezpośrednio nad wsią chłopi uczą się na obecnym etapie rozpoznawać i rozumieć właśnie w perspektywie ich rosnących apetytów na rozszerzoną reprodukcję, na zwiększony dochód i pomniejszone koszty produkcji.

Gdybyśmy dzisiaj rozpisali ankietę analogiczną do tej sprzed 17-tu lat, chłopi logicznie myśląc i dając wyraz programowi rozwoju sił wytwórczych na etapie, jaki już osiągnęli dzięki rewolucji i władzy ludowej — musieliby uporać się z pytaniami, jakie im bieżąca praktyka nasuwa. A ta praktyka naciera takimi podstwowymi pytaniami: jak osiągnąć dalszą zwyżkę plonów i pogłowia? Jak osiągnąć jeszcze większe utowarowienie rolnictwa, jak pokonywać trudności z robocizną i wzmagać dochody?

I na te pytania nieodparcie odpowiada już nie teoria tylko, ale praktyka PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych.

IV

Spróbujmy wyjść z pozycji indywidualnie gospodarujących chłopów w ich szukaniu odpowiedzi na pytanie: „jak jeszcze więcej?“

Weźmy na przykład sprawę hodowli. Drobne i średnie gospodarstwo chłopskie nie jest w stanie przeznaczyć więcej niż 5 proc. swej powierzchni na użytki zielone, nie jest w stanie zagospodarować posiadanych łąk i pastwisk (mamy ok. 3 mil. ha łąk, których wydajność niewiele wzrosła na przestrzeni ostatnich 100 lat) ,gdyż to wymaga m. in. regulacji gospodarki wodnej na przestrzeni przekraczającej z reguły obszar nie tylko gospodarstwa jednego, ale i całej wsi.

Stąd ten deficyt pasz odczuwany z coraz większą dokuczliwością przez drobne i średnie gospodarstwa chłopskie, stąd te tysiące dzieci, kobiet i starców, pasących na sznurku krowy po rowach i miedzach.

Więc jakie rozwiązanie? Nastawić PGR na produkcję pasz zielonych dla drobnych i średnich gospodarstw chłopskich? Absurd — mają one bowiem o wiele donioślejsze zadania produkcyjne.

Wzmóc odpowiednio produkcję pasz treściwych (wytłoki, makuchy, mączki itp.) przez przemysł rolny i spożywczy? Ale jak, jeśli wzrost zapotrzebowania na te pasze rośnie **szybciej** niż wzrost produkcji tych roślin przemysłowych w gospodarstwach chłopskich?

Weźmy inny przykład — sprawę robocizny. W warunkach prymitywnej drobnotowarowej hodowli żywienie, oprzątanie, dojenie itp. inwentarza żywego wymaga ogromnego nakładu pracy ręcznej całej rodziny chłopskiej, a zwłaszcza kobiet. Bohaterem pracy godnym podziwu jest w tych warunkach np. średniorolny chłop Gołębiowski (ze wsi Kisielewo, powiat Lipno), który rozumiejąc dobrze potrzeby państwa podjął się dostarczyć w r. 1952— 26 tuczników.

Jakie z tych sytuacji ukazuje wyjście rzeczywistość? Wyjście, które jest zarazem skokiem naprzód?

Oto spółdzielnia Węgierskie (w woj. poznańskim) w jednym roku powiększa swe gospodarstwo o 14 sztuk bydła, 70 sztuk trzody. 20 owiec, 300 kur, podnosi mleczność krów do 40 proc.

Oto spółdzielnia Sielnica (powiat Wschowa) zaczęła gospodarkę hodowlaną rok temu od dwóch macior i knura, dziś posiada 151 sztuk trzody chlewnej, buduje chlewnię dodatkową jeszcze na 40 sztuk i oborę na 100 krów. To są fakty. Ale jak osiągnięto — pyta chłop — jak rozwiązano trudności paszowe i robocizny?

Trudności paszowe? Spółdzielcy z Sielnicy śmieją się z nich. Mając (na marnych glebach) zbiory pszenicy 22 q z ha, owsa — 23 q z ha, jęczmienia—26 z ha (plony prawie **dwukrotnie** wyższe od plonów sąsiednich gospodarstw indywidualnych) mogą **bez obawy utraty towarowości** co najmniej 15 proc. gruntu przeznaczyć pod produkcję pasz i to bardziej wartościowych od siana łąkowego.

A trudności z robocizną? W spółdzielni Smolna, (pow. Oleśnica) 30 koni obsługuje 1 człowiek, 94 sztuki trzody chlewnej — 2 ludzi, 44 sztuki bydła (w tym 31 wysokomlecznych krów) — 2 oborowych i 3 dojarki.

W PGR Wojnowo (pow. Bydgoszcz) zrezygnowano już w rb. z takiej liczby (1 na 10 krów) dojarek, zastosowano dojarkę mechaniczną, co podniosło poza tym z dnia nadzień mleczność krów o 5 proc.

W PGR Balcewo, w powiecie Ostróda (woj. olsztyńskie) chlewmistrzem jest 56-letni **Jan Pazucha. Trzystakilkadziesiąt świn** do oporządzenia to dla Pazuchy „mucha“, mimo, że ma tylko trzy pomocnice. Przeciętnie mioty w tej chlewni dają 17 — **13** prosiąt rocznie, a kilka „rekordzistek“ dało w tym roku nawet po 25 prosiąt.

Spółdzielnia produkcyjna Kania w woj. szczecińskim gospodarująca na 1000 ha uzyskała (tylko w I półroczu 1951) nadwyżkę towarową mleka — 148 tysięcy litrów.

Na siedemset spółdzielni produkcyjnych ,które dokonały pierwszego podziału dochodów w roku 1950 — 210 już miało obory liczące ponad 30 krów, a 98 spółdzielni posiadało chlewnie o obsadzie powyżej 5 macior.

O czym mówią te przykłady. O tym, że w zespołowej gospodarce rolnej na wielkim obszarze znikają hamulce, opóźniające na małym gospodarstwie wbrew dążeniom rolników, rozwój sił wytwórczych, wzrost plonów i pogłowia zwierząt, szybki wzrost towarowości, a tym samym i wzrost dochodowości pracy rolnika.

Dochodowość to przecież klin w głowie chłopa. Ale jeśli spółdzielnia w Gojniewie (pow. Malbork) zebrała w tym roku przeciętnie 41 q z ha jęczmienia, jeśli spółdzielnia produkcyjna w Kosowie pow. Świecie osiągnęła żyta 29 q z ha. pszenicy — 33 q z ha, jęczmienia — 32q z ha, a spółdzielnia Starosielec — 19 q rzepaku, 25 q żyta i 30 q pszenicy z 1 ha to i dochody takiej gospodarki wyglądają inaczej niż w gospodarstwach indywidualnych.

W roku 1950 w połowie spółdzielni produkcyjnych przeciętna dniówka obrachunkowa wyniosła ok. 16,35 zł, w połowie — ok. 14,05 zł. W spółdzielniach istniejących więcej niż rok, w których nowa organizacja pracy już okrzepła, dniówka obrachunkowa jest znacznie wyższa. Tak np. w spółdzielni Wionczemin Polski w woj. warszawskim — 16,6 zł (przy tej wysokości dniówki obrachunkowej przeciętny roczny dochód członka spółdzielni produkcyjnej wyniósł około 7 tys. zł), w spółdzieni w Sielnicy, pow. Wschowa, dniówka obrachunkowa wyniosła 18,5 zł, w spółdzielni Wierzbno pow. Nysa — 25,67 zł, w spółdzielni Jaglak woj. olsztyńskie — 25,71zł, w spółdzielni Wisznia Mała, pow. Trzebnica — 35,75 zł itd. O dochodach członków spółdzielni daje pojęcie wcale nie wyjątkowy przykład rodziny Kuberków (ze spółdzielni Jaglak) złożonej z ojca, matki i dwóch synów, którzy razem wypracowali 800 dniówek. Te wyniki produkcyjne i finansowe świadczą wymownie o wyższości zespołowego sposobu gospodarowania.

Osiągnięcia zespołowej gospodarki, ich nieporównywalnie wyższa od gospodarstw drobnych i średnich możliwość podnoszenia poziomu sił wytwórczych i wyników produkcyjnych, — otwierają oczy nie tylko małorolnemu, ale także i chłopu średniorolnemu na wyższość i korzyści socjalistycznej gospodarki w rolnictwie, przekonywuje go, że **nie tylko** zwiększona pomoc dla rolnictwa ze strony **władzy ludowej, ale także** świadoma i dobrowolna **decyzja chłopów pracujących** i ich przejście do wyższych form gospodarki **razem** dopiero otwierają przed rolnictwem w Polsce wspaniałe perspektywy rozwoju.

Stanisław Cieślak

*) J. Stalin, Zagadnienia leninizmu, Warszawa, 1950, Książka i Wiedza, str. 261.

Gazetka gminna

Nowoczesny sennik

PYTANIE. Co to znaczy, jeśli przewodniczącemu Gminnej Rady Narodowej w Krotoszynie już po raz trzeci śni się w nocy, że jest małym chłopcem, siedzi w szkole na czwartej ławce i to na lekcji historii (w której, powiedzmy to sobie na ucho, nie wykazywał nigdy specjalnych postępów), nauczyciel zadaje mu z groźną miną pytanie, na które nie umie znaleźć odpowiedzi... i tak się męczy noc w noc.

ODPOWIEDŹ: Murowana inspekcja z Powiatowej Rady Narodowej, która postawi trzy pytania:

1) W jakim celu zaczęto budować w r. 1947 „Dom Kultury“ w Chwaliszewie, na sławę władzy czy dla zaspokojenia potrzeb tysiąca mieszkańców tej wsi?

2) Kiedy Gminna Rada zamierza go wykończyć, czy na tysiąclecie państwa Polskiego (1965) czy wcześniej?

3) Dlaczego nowa szosa Chwaliszewo — Krotoszyn wybudowana jeszcze w zeszłym roku urywa się na sto pięćdziesiąt metrów od celu, może tu chodzi o ochronę zabytków (kawałek „polskiej“ piaszczystej drogi) poleconą niedawną instrukcją WRN?

Jan Kużaj

W ciuciubabkę niech bawią się dzieci

Niektóre komitety członkowskie gminnych spółdzielni bawią się z zarządem w ciuciubabkę. Na czym ta zabawa polega, wyjaśnię na przykładzie komitetu członkowskiego gminnej spółdzielni Chojnice— Wieś (woj. gdańskie).

Nieuczciwy kierownik sklepu ob. Żywiecki miał tam 700 zł manca(!). Co na to komitet członkowski? Ho, ho, nie myślcie, że spał. Co to, to nie! Przejawiał ożywioną działalność i zdumiewającą ruchliwość. Cóż kiedy była to ruchliwość ciuciubabki. Komitet członkowski robił dosłownie wszystko co było w jego mocy. Tak... wszystko co było w jego mocy... aby Żywieckiego przed członkami wybielić.

Na tym polegały bowiem zasady nieczystej gry, której Żywiecki był patronem. Komitet członkowski zasłaniał oczy, a Żywiecki fundował libacje i systematycznie pożyczał członkom komitetu pieniądze. Gdyby poszedł pod klucz skończyłaby się wyżerka i kasa.

Co wy na to, chłopi ze wsi Chojnice? My osobiście radzimy przepędzić złodziejskich kumotrów. I jeszcze jedno ku uwadze. Miotła sama nie zamiata, a w ciuciubabkę niech się bawią dzieci.

Stefania Wklęsło

Kuracja odtłuszczająca

W dniu 20 sierpnia w Lubrańcu pow. Włocławek, byłem świadkiem następującego widowiska mrożącego krew w żyłach.

Po czterech ulicach miasteczka galopował wozem w szalonym tempie tam i z powrotem, podskakując straszliwie po wybojach, jakiś chłop, trzymając za ogon kwiczącego w niebogłosy z przerażenia wieprza, który na próżno usiłował dokonać desperackiego skoku z tego „wozu śmierci“.

Za chłopem biegła banda wyrostków, wykrzykująca na przemian:

— Prędzej, prędzej, Macieju, jeszcze tylko 2 kilo.

— Dlaczego nie zatrzymacie tego szaleńca? — wskazałem zgorszony na pędzącego na wozie chłopka.

— Cii.... — nakazał mi milczenie jeden z dulczących. — Niech mu pan nie przeszkadza. On nie zwariował ino tak musi... Przywiózł świnie na skup, ważyła 108 kilo. A urzędniki mu powiedziały: ...„Nie możemy wam przyjąć, bo jest o trzy kilo za ciężka“. Chłop się prosił:

„Przecież jej ryja nie obetnę — ale one w żaden sposób nie chciały się zgodzić. Więc my mu poradzili, żeby z tą świnią pohulał z godzinę po ulicach, bo wie pan, jak się wieprza wytrzęsie i wystraszy, to mu na wadze ubędzie. To dobry sposób.

Ja zaś proszę redakcji uważam, że był lepszy sposób. Trzeba było tych świnobiorców z punktu skupu przegonić po rynku i to dobrze, żeby im biurokracja tyłkiem wyszła — co właśnie chciałem powiedzieć w imieniu własnym i zasmuconych konsumentów kiełbas.

Mikołaj Gęgała

Co się nie zmieniło?

„Śmiało by można powiedzieć, pisze do nas korespondent — *że we wsi Krzywe (pow. brzozowski) nic się nie zmieniło po wojnie.*

Słuchajcie, słuchajcie! Rzecz to niesłychana, ale wiarygodna. Więc liczmy. Nikt nie odszedł u nich na ziemię zachodnie? Owszem, kilku gospodarzy wyjechało. Hm, nikt nie wyszedł do miasta? Owszem, 20 osób pracuje w miastach. Hm. Młodzież nie uczy się w szkołach średnich? Owszem, gremialnie, również szkołę podstawową podniesiono do siedmiu odziałów. Hm. A jak z rozwojem produkcji rolnej? Od roku cała wieś żnie i młóci maszynami SOM-u. Hm. A jak z życiem społecznym gromady? O, chłopi „zawzięcie rajcują z sołtysem nad sprawami bieżącymi“. Więc „cóż do licha — wykrzykniecie — nie zmieniło się w tej wsi? Bo proszę was, nawet zegar zakupiono na wieżę kościelną, aby praca miała rytm i normy. Nawet fundusze z imprez artystycznych i zabaw przeznaczono na budulec nowego domu ludowego,

Ale — i tu triumfuje nad wami korespondent — nie zmieniło się posłuszeństwo gromady wobec władz gminnych, a tam nie zmieniły się „tępe paragrafy gminne“. Słuchajcie, słuchajcie! Był dom ludowy, dawniej nazywano go „Domem Strzelca“, potem „Kółkiem Rolniczym“, podczas okupacji „mleczarnią“, po wojnie „Punktem odżywiania dzieci“. Dla młodzieży był to punkt świetlicowy i tańcówkowy, dla starych chłopów punkt racjowania. Na koniec dla kuratorium stał się punktem dla siódmej klasy. I tu się zaczyna święte oburzenie korespondenta. Chłopi rajcują na wolnym powietrzu. Raz jest pogoda i wiatr, porywa sołtysowi z przed nosa papiery, a raz deszcz i papiery tracą urzędową wartość. Otóż podczas takiej pogody chłopi szybko podporządkowali się instrukcji GRN-u z Dyni, która, powołując się na paragraf orzekający, że prace przy budowie takich obiektów jak dom ludowy nie mogą być wykonywane w ramach szarwarków, dawała w rezultacie do zrozumienia, że nie praworządną jest dobrowolna bezpłatna praca przy przebudowie domu ludowego.

Śmiało można by powiedzieć, że gdyby nie paragrafy GRN wszystko już by się zmieniło po wojnie we wsi Krzywe.

Teofil Nowak

Matuchna PGR-u

Było to podczas żniw. Na PGR-ze w Krzykawce nie zastałem żywej duszy. Wszyscy w polu. Nagle... za kuchennym oknem mignęła twarz staruszki. Wszedłem. Siwa kobieta prasowała fartuchy, jakie używają dojarki. Zaczęła się nasza rozmowa.

— Gdzie można spotkać kierownika?

— Poszedł z MOIMI dziewczętami w pole.

— Daleko?

— Może ja pana załatwię?...

— E, dajcie matko spokój...

— Nie denerwuj się synu. Takiego jak ty, mam w Krakowie na szkołach. — Staruszka dołożyła węgla do pieca i wsypała do wielkiego kotła kawę.

— Na starość jeszcze pracujecie?

— A co, na emeryturę? Tak do mnie mówił nasz kierownik. Lata wam matko już nie przysługują pracować, jakby nie było macie 70. Musicie matuś zrozumieć — gadał — że wam to tylko na zdrowie pójdzie.

— I nie posłuchaliście?

— A nie! Kto lepiej ode mnie zna dwór? Napatrzyłam się z kuchni (pomywaczką byłam), jak u jaśniepaństwa Skotnickich szły wesela, uczty za ucztami. Lepszych gości podejmowano na piętrze, gorszych na parterze. Wójt piętnaście lat wzdychał, żeby się dostać na piętro.

— A teraz?

— Teraz, to onego noga stanąć tu nie śmie. Ale za to nasze dziewczęta zabawy mają na piętrze. Więc, jak mnie kierownik spytał: a gdzie matko chcecie pracować? Tom mu odpowiedziała: duchem to w całym dworze, a spotkać to możecie mnie zawsze w kuchni.

— To tak po staremu?

— Oj, synu! Mojemy mężowi, co był fornalem, dziedzic wytrącił cały miesiąc za to, że do kuchni do mnie wlazł. A teraz i kuchnia i piętro i świetlica dla wszystkich. Ale tu wciąż zachodzą dziewczęta a ja im matkuję. Taka to moja robota. Wczoraj była przy niedzieli zabawa, to im dziś prasuję fartuchy, bo zabałamuciły krzynę i kawę dla nich szykuję. Jak wrócą z pola to mi powiedzą: bez was, matuchno, nie dalibyśmy sobie rady.

Jerzy Hłond

Świnia z parasolem i inne świństwa

GS w Mroczy, zmieniając dni spędu, nie zawiadomiła o tym hodowców. Czyż trzeba powtarzać, ile naprzeklinała się małorolna chłopka Kokożewska z gromady Orlice, która nie wiedząc o tym, wynajętym koniem przywiozła 3 tuczniki do punktu skupu w Mroczy? Musiała wracać jak niepyszna, a na drugi dzień znów wynajmować konia i jechać z zakontraktowanymi tucznikami do punktu skupu w Wąwelnie oddalonym o 14 kilometrów od jej domu. (do Mroczy miała tylko 3 km.).

Czy panowie z GS-u nie wiedzą, ile kosztuje najem koni w okresie żniwno-omłotowym, czy nie wiedzą, ile traci tucznik na wadze, trzęsąc się 14 kilometrów po kiepskiej drodze na upale? Jakiś dowcipniś odpowiedział podobno rozżalonej kobiecie:

— Ja wam, matka, poradzę. Kupcie se resory, a świni parosol.

Rada zresztą nierealna, choćby z tego powodu, że artykułów tych brak podobno w GS Mrocza (chwilowo) na składzie. Ale biurokraci mają za to w arsenale jeszcze inne środki do zniechęcania producentów.

Najlepszemu hodowcy Franciszkowi Świderskiemu, z gromady Skoraczewo, (zakontraktował w br. 30 sztuk tuczników z tego odstawił już 22(!) nie załatwiono do tej pory należnej mu zaliczki w sprzedaży zboża.

Małorolnemu Stanisławowi Gałązce, z gromady Drzewianowo, Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych w Nakle nie wypłacił dotąd należności za ubezpieczoną sztukę zakontraktowaną, która padła.

A najgorsze jest to, że żalą się chłopi z gminy Mrocza, iż trzeba nieraz cały dzień stracić w oczekiwaniu na należne za odstawione tuczniki pieniądze!

Tak nie można, to zupełnie po świńsku, obywatele od skupu z GS Mrocza! Wstydźcie się przed klasą robotniczą! Postępując w ten sposób, utrudniacie likwidację trudności na rynku mięsnym i zaopatrzenie pracującej ludności miast.

Franciszek Kit

Grupa „propagandzistów“

Jest w naszej okolicy spółdzielnia produkcyjna w Pleckowej Dąbrowie Do czasu omłotów były w niej jakby dwie grupy członków. Jedna grupa pracowała na wspólnym a druga na prawo i lewo robiła jej propagandę: *dadzą radę, co nie mają dać!* Propaganda rzecz potrzebna. Ale jak Pleckowej Dąbrowie, okazała się, bardzo kosztowna.

Bo przypatrzcie się „propagandzistom“. Krakowski ziemię do spółdzielni wniósł, ale własną osobę umieścił przy ważeniu węgla w gminnym składzie. Pawełkowska też dała 2 ha, po czym ogłosiła się mistrzynią do szycia babskich kiecek. Małecki również grunt oddał na „wspólny plon“, a sam nudzi się przy wypisywaniu kwitów w młynie, Morejkowa też oddała ziemię pod traktory, siebie zaś na podreferentkę sekcji kur w ZSCh, a Mortoflowa — pole na wzrost socjalizmu, a własną osobę na „przerost biurokratyzmu“ w filialnym sklepie GS-u.

Oto grupa pleckowych propagandzistów. Trzeba przyznać, że strategię obrali wspaniałą. Punkt sprzedaży węgla, warsztat krawiecki, czyli salon mody dla bab, urzędy, ZSCh, GS, toż to miejsca masowych kontaktów. I na tych punktach trąbią nasi propagandyści: W Pleckowej dadzą radę, co nie mają dać! I w Pleckowej dali radę. Przy omłotach okazało się, że uzyskali z hektara żyta 25 q, pszenicy 27 q, jęczmienia i owsa prawie 35 q. Teraz dzieje się rzecz niesłychana. Pleckowa traci grupę propagandystów. Bo kiedy Krakowski posłyszał przy węglu od kułaka Mariasza, że tym cholerom spółdzielcom wypadnie dniówka obrachunkowa na 30 zł, poleciał w dyrdy do Małeckiego, Małecki do Morejkowej, Morejkowa do Mortoflowej, Mortoflowa do Pawełkowskiej i grupa propagandzistów, obliczywszy sobie, że jeśli jeszcze wypracują do końca roku chociażby kilkadziesiąt dniówek to zarobią po parę tysięcy na osobę — zameldowała się u przewodniczącego spółdzielni jako *brygada polowa* do orki i siewów jesienych.

Alojzy Witaszek

ZMARŁ JAN MARCINEK

Nadesłała z Bieńkowic (powiat myślenicki) smutna wieść o śmierci w 70 roku życia, zasłużonego pisarza i poety chłopskiego, Jana Marcinka.

Marcinkowi należałoby się — w gronie pisarzy samouków — osobna chlubna karta, był to bowiem swego rodzaju — jeśli chodzi o pracowitość i sumienność — fenomen. Drobny rolnik, pracujący od rana do nocy na 4 morgach nie bardzo urodzajnej, podgórskiej gleby, znalazł od młodości zawsze czas na pisanie wiersza (w „Obronie Ludu“), patriotycznego artykułu (w „Młodej Polsce“), humorystycznej gawędy (w „Zniczu“), czy poważnego artykułu (w ostatnich latach we „Wsi“). W czasie okupacji napisał epopeę chłopską p. t. „STRASZNY ROK“, liczącą kilka tysięcy wierszy. — Napisał także kilka dramatów i rozpraw o charakterze krajoznawczym a jego praca p. t. „Wyniki badań nad tekstami szopek i pieśni ludowych“ oraz „Opis mojej wsi“ zostały nagrodzone.

Dobry przyjaciel i kolega, niestrudzony szermierz o postęp wsi i podniesienie swojego regionu, pozostawił po sobie szczery żal tych wszystkich, którzy znali jego pracę i wysoko go cenili.

Takim — w pełni jeszcze sił — widzieliśmy go na naszych Zjazdach w Rytwianach (1947 r.), w Warszawie i w powrotnej drodze, gdy wygłaszał swe wiersze w sali Teatru w Kielcach. Pisał, tworzył i pracował do ostatnich chwil swego owocnego życia. Najważniejsze zaś, że był jednym z tych, którzy wchodzili na drogę, po której ruch ludowy mógł zwycięsko kroczyć ku Polsce Ludowej.

Maciej Czuła

Ankieta dla pisarzy

Warto przypomnieć metodę pisarską wielkiego realisty — Prusa. Pierwszą jego robotą była codzienna kronika (nierzadko najdrobniejszych przejawów życia Warszawy). Drugą — cotygodniowe komentowanie w felietonie publicystycznym wybranych wydarzeń z kroniki. Trzecią — przetapianie tej wiedzy w artystyczny obraz opowiadań i powieści

A jaka w naszym życiu literackim uciera się praktyka? Kronikę oddaliśmy korespondentom chłopsko-robotniczym, publicystykę — dziennikarzom. Trudno nas uprosić o reportaż i opowiadanie, budujemy bowiem od razu powieści.

Nie pracujemy tak jak Prus, ale też nie pracujemy bardziej nowocześnie, tak, aby z drugiej ręki wykorzystywać masowe doświadczenia, jakie klasyk realizmu kiedyś nagromadzał sam dla swojego warsztatu. Ciekaw jestem, jaki byłby wynik ankiety, rozpisanej do pisarzy na tematy:

1) ile pism masowych i w jakim stopniu studiujesz w zakresie korespondencji terenowej?

2) Jaka jest twoja lektura publicystyczna, szczególnie w zakresie bazy i rozwoju sił wytwórczych?

P. Ch.

Jak pisać?

Ostatnio napłynęła do redakcji nowa fala pytań od najmłodszych, debiutujących pisarzy. Obracają się one w większości wokół jednej sprawy: **jak pisać na tematy „ograne“ już lub periodycznie powtarzające się?** O spółdzielniach produkcyjnych wszak pisano. Niedawno ukazał się cały cykl opowiadań znanych literatów O PGR-ach pisano. Z biografii przodowników można ustawić niemałą biblioteczkę. W okresie żniw byliśmy najczęściej w górach albo nad morzem. Skup zboża, owszem. Przegapiliśmy go w ubiegłym roku. Szczerze zamierzaliśmy powetować to niedopatrzenei w tym roku. Ale genialne normy, jakie obliczył Centralny, Urząd Skupu i Kontraktacji oraz administracyjny przerzut kart skupowych w teren, odebrały nam taki interes pisarski, jaki w tamtym roku dawała wzniesiona fala walki klasowej. Samych przecież działaczy „trójek“ było 120 tysęcy. Na dożynki w Poznaniu mało kto podskoczył. Za orkę i siewy jesienne brać się, czy nie? **I jak?** Bo nawet z tematami do dłuższych opowiadań trudno dać sobie radę.

Taka np. historia filii spółdzielni gminnej (model rzeczywisty: Bytomice. pow. Krosno). W r. 1949 ponad stu chłopów na zebraniu gromadzkim uchwala wystąpić do GS-u z wnioskiem z założenie filii. W kwietniu 1950 r na ponowny wniosek GS odpowiada, że „już się robi“. W 1951 r wniosek wraz ze skargą kieruje gromada do GRN GRN zatwierdza, ale wniosek GS wysyła do instancji wojewódzkiej i tak to od trzech lat „filię już się robi“, ale jej jeszcze nie ma, czyli we wsi bez zmian. Jak w takiej historii pokazać zmiany?

Albo dzieje mostu od trzech lat nie naprawionego. We wsi 14 gospodarzy, za rzeką pastwiska na 20 ha. Gromada prosi GRN o pomoc techniczną dla naprawy mostu, składa podania co kilka miesięcy a mostu nie ma, czyli dzieje bez dziejów. A jeśli były, jak je pokazać?

Będziemy odpowiadać i wyjaśniać ale również zapraszamy wszystkich zainteresowanych do zabrania głosu.

P. Ch.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres Administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel. 40180—90. Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch“, Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3,— zł; kwartalnie 9,—; półrocznie 18,— zł; rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś“.
RSW „PRASA“, Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-40270